

DLA CIEBIE POLSKO I DLA TWEJ CHWAŁY - nabożeństwo pogrzebowe śp. Władysława Bukowca



Fot. Stanisław Król

**Limanowski artysta
podbija Europę**

**Był ambasadorem
kultury regionu
- pożegnanie
Ludwika Mordarskiego**

**Historia wierszem spisana
limanowski epizod
rzezi galicyjskiej**

**Ścieżka przyrodnicza
„Limanowa-Jaworz”**

**Wczesne wykrycie daje możliwość
wyleczenia nowotworu
- Konferencja Naukowo-Szkoleniowa
w Limanowej**

**Dopóki mamy czas...
- zjazd absolwentów
Liceum Pedagogicznego**

**Historia rafinerii ropy
w Sowlinach w opisie
inż. Józefa Floriana**

**Limanowska „Jedynka”
- wspomnienia z tamtych lat**



*Ojców naszych ziemio święta,
Ziemio wielkich cnót i czynów,
Tyś na wskroś jest przesiąknięta,
Krwcią ofiarną twoich synów.*

Władysław Bełza



Żmija 12 września 2010



Dla Ciebie Polsko i Dla Twojej Chwały

Żmiąca, jedna z wielu górskich wsi powiatu limanowskiego, ukształtowana i związana z otaczającą przyrodą. Strone stoki porastają lasy, a przepływający potok wypełnia dolinę charakterystycznym szumem. Wzdłuż ciągnie się droga i zabudowania świadczące o zaradności i pracowitości mieszkańców. Wciśnięta w północne zbocza Pasma Łososińskiego wydaje się i dzisiaj nieco na uboczu. Jej wyjątkowość dostrzegł już na początku XX wieku Franciszek Bujak, wydając pracę „Żmiąca, wieś powiatu limanowskiego” (1903). Kolejnym opracowaniem była publikacja Zbigniewa Tadeusza Wierzbickiego „Żmiąca w pół wieku później” (1963).



Kompleks leśny Limierz między Jaworzem, a Sałaszem. W dolinie rodzinny dom Bukowców.

Spokojne niedzielne popołudnie 12 września 2010 roku. Mimo zasnutego chmurami nieba i przelotnego deszczu w pięknie położonym kościółku z szarego piaskowca zbierają się ludzie. O godzinie 14 rozpoczyna się nabożeństwo pogrzebowe śp. Władysława Bukowca. W środku świątyni prosta drewniana trumna z brzoźowym krzyżem. Obok siedzi najbliższa rodzina zmarłego, za trumną młodzież w mundurach Strzelca z urną zawierającą ziemię z Katynia i Kuropat. Stoją poczty sztandarowe Zespołu Szkół Samorządowych nr 2 i IV Liceum Ogólnokształcącego w Limanowej. Wśród licznych koncelebrantów ksiądz biskup Władysław Bobowski oraz brat zamor-

dowanego 60 lat temu - ksiądz prałat Jan Bukowiec. Wzruszony kapłan wyjaśnia (...) jesteście w Żmiącej, aby z najbliższą i dalszą rodziną, a także z przyjaciółmi wypełnić obowiązek – grzebania umarłych. I stąd jesteście w Żmiącej, aby Boga Miłosiernego prosić za tych, co stracili życie i wiele, wiele wycierpieli w czasie tragicznych lat.



Władysław Bukowiec (1921-1950)



Przed domem rodzinnym w Żmiącej. Siedzą od lewej: Jan Bukowiec, Zofia z Tokarzów Bukowicz (matka), siostra Stefania, Józef Bukowiec (ojciec), ciocia Małgorzata. Stoją od lewej: Władysław, Helena, Kazimierz Bukowicz. Fotografia z 1945 roku.

Pojawiają się zasłyszane wspomnienia i historie sprzed ponad pół wieku. Myśli pozwala zebrać niepublikowany szkic Zbigniewa Tadeusza Wierzbickiego będący uzupełnieniem wcześniejszej publikacji. Intrygujący tytuł „W pewnej małej, cichej wiosce – polskiej Wandej?” przywołuje tragiczne wydarzenia z czasów rewolucji francuskiej. Powstanie przeciwko antykatolickiemu postępowaniu władz zostało krwawo stłumione - czy podobnie stało się w Żmiącej?

Po zakończeniu wojny, która zburzyła dotychczasowy ład, przyszły kolejne trudne lata. Nie z wyboru, ale narzucony z zewnątrz system obiecywał nowe możliwości za cenę wolności oraz wyrzeczenia się wyznawanych od pokoleń wartości. Dla większości mieszkańców Żmiącej było to nie do przyjęcia. Dumni ze swojej historii byli wyrozumiali i lojalni wobec siebie, ale wrażliwi na traktowanie i wierni tradycji. Cicha opozycja przybrała charakter religijno-patriotyczny. ▶

Fotografie na stronie 2: Ks. bp Władysław Bobowski podczas nabożeństwa pogrzebowego Władysława Bukowca w kościele w Żmiącej. **Poniżej:** Siostry śp. Władysława (od prawej) Helena i Stefania. **Obok:** Prosta symboliczna trumna z brzoźowym krzyżem.



Kościół w Żmiącej.



Ks. Jan Bukowiec przedstawia historię z 1950 roku w 60. rocznicę tragicznego zdarzenia.



Nabożeństwu pogrzebowemu przewodniczył ks. bp Władysław Bobowski w koncelebrze z ks. Janem Bukowcem i ks. Karolem Dziubaczką.

► Przyczyniła się do tego zarówno walka władz z religią jak i stosowane okrutne metody walki z partyzantami. W większości byli to znajomi lub bliscy, których znali od dziecka. Mieszkańcy wsi zmęczeni okupacją, tęsknili jednak za stabilizacją i spokojem. Umiejętna propaganda rządowa, wykorzystując te pragnienia, próbowała pozyskać zwolenników. Sprzyjało również to, że w okolicznych lasach przez dłuższy czas, oprócz resztek oddziałów partyzanckich, działały bandy niewiadomego pochodzenia, w tym rabunkowe.

W 1946 roku powstała w Żmiącej tajna organizacja młodych ludzi nigdy nie licząca więcej niż 7-8 osób. Ocena jej działalności wśród mieszkańców wsi jest różna. Jedni uważają ją za chuligańskie działania młodych, inni odnosili się do nich z wielkim szacunkiem ze względu na motywy działania. Trzecia, najczęściej spotykana opinia była pragmatyczna:

rzecz podjęta przez niedoświadczoną młodzież, z motywów może niezłych czy szlachetnych, ale bez widoków na powodzenie. Tragizm tamtych lat polegał na tym, że nie było prostych decyzji. Młodzi, bezkompromisowi wybierali walkę zbrojną nawet za cenę własnego życia czy cierpienie i rozdarcia wśród niewielkiej żmiąckiej społeczności.

Organizacja nawiązywała sporadyczne kontakty z innymi niepodległościowymi ugrupowaniami, działającymi na tym terenie, oraz ośrodkiem w Krakowie. W aktach śledczych i sądowych figuruje nazwa „Wojsko gen. Andersa”, chociaż nie była ona używana przez „kryjaków”, bo tak nazywała ich miejscowa ludność. Była więc nadana przez UB, zapewne ze względów praktycznych. Przyjmuje się, że byli częścią Narodowej Organizacji Wojskowej, która jeszcze w czasie okupacji podporządkowała się AK. Na pieczęcie, której w począt-

kach konspiracji używali, był wytłoczony napis „Dla Ciebie Polsko i Dla Twej Chwały”. Organizatorem i przywódcą konspiracyjnej grupy był Ludwik Zelek, student I roku UJ, którego ojciec przed wojną był wójtem. Do swojej organizacji wciągnął czterech młodych chłopców z sąsiedztwa. Dokonała ona zaledwie paru drobnych akcji przeciw tzw. aktywistom bądź osobom podejrzanym o współpracę z władzami bezpieczeństwa. Celem ich było odebranie broni bądź zastraszenie. Polegało to na nocnych najściach i groźbach oraz, podobno, niekiedy i chłoscie. Grupa utraciła kontakt z bliżej nieznanym ośrodkiem w Krakowie po tragicznym wydarzeniu w Laskowej. 2 marca 1947 roku dokonała zbrojnego najścia na podejrzanego o organizowanie kolchozu aktywistę partyjnego. Napadający nie mieli, podobnie jak w innych swych akcjach, zamiaru pozbawienia go życia. Celem było odebranie



Na cmentarzu w Żmiącej ks. bp Władysław Bobowski odmawia modlitwę w asyście kapłanów przybyłych na uroczystość pogrzebową Władysława Bukowca.



Liczni przybyli na uroczystość pogrzebową członkowie rodziny Bukowców.

broni i ostrzeżenie przed organizowaniem spółdzielni. Napadnięty, uciekając, otworzył ogień z posiadanego przez siebie automatu, raniąc poważnie Ludwika Zelka i sam ginąc w wymianie strzałów. Rannego przewieziono do rodzinnego domu w Zmiałej, gdzie po brutalnej rewizji UB i MO został aresztowany. Mimo tortur nie wydał swoich towarzyszy. Od tego czasu wieś stała się obiektem licznych pacyfikacji: wiosną 1947 roku, w grudniu 1948 i 1949 oraz jesienią 1950 roku. Obławy, rewizje i aresztowania, w czasie których bito i poniżano, dotknęły przede wszystkim rodziny i sąsiadów „kryjaków”.

Jeden z nich Wincenty Bukowiec, mimo że nie brał udziału w tragicznie zakończonej akcji w Laskowej, również zaczął się ukrywać. Przeziębiony przybył do rodzinnego domu. Milicjant bez ostrzeżenia oddał strzały do ukrywającego się w stodole partyzanta. Rannego przeniesiono do izdebki. Na słowa: „Bandyto, oddaj swą broń” - wyjął spod zakrwawianej koszuli różaniec, mówiąc „oto moja broń, ale ty sk...”. Płacząca matka przerwała mu: „Wituś, może wkrótce staniesz na Sądzie Ostatecznym, a Chrystus przebaczył swoim oprawcom, przebacz i ty jemu”. Zmarł, mając zaledwie 24 lata, 24 kwietnia 1949 roku. Jego pogrzeb stał się manifestacją patriotycznych nastrojów wsi, co spowodowało, że następne ofiary UB były grzebane w tajemnicy. Nie tylko bez księdza, ale i bez powiadomienia najbliższej nawet rodziny i w nieznanym do dzisiaj miejscach.

Czwarty członek grupy, Kazimierz Augustyn, zginął 2 października 1953 roku razem z kolegą S. Widłem, ostrzeliwując

się do końca. Trzy lata wcześniej, 7 września 1950 roku został zastrzelony przez funkcjonariuszy UB Władysław Bukowiec. O świcie ze swej dobrze zamaskowanej leśnej kryjówki na Limierzu wyszedł do źródła po wodę. Tutaj czekała go przygotowana wcześniej zasadzka, której szczegóły dostarczają zamieszczone dalej materiały IPN. Po zabójstwie funkcjonariusze przyszli do ojca zabitego i zakomunikowali mu: *Zabiliśmy dzika w lesie. Zaprzęgaście woły i jedźcie po niego do lasu.* Pojechał brat Kazimierz, ale nie pozwolili mu zabrać ciała zabitego. Posłużono się nim dla zrobionego we wsi wiecu, by pokazać, jaka kara spotka tych, co walczą z władzą ludową. Funkcjonariusz przemawiający do ludzi trzymał podobno swą nogę na ciele zabitego. Proboszcz parafii ujanowickiej ksiądz Bernard Dziedziak napisał *Po zabiciu Władka Bukowca wszędzie robili wojskowi oficerowie publiczne wiece ludności, chlubiąc się tym, że zabili komendanta „bandziórów”, a to bardzo dobry i szlachetny chłopak.* Jedną z gospodyń z górnej wsi wspominała: *Wladek Bukowiec pomógł mi nieraz w koszeniu: zaś w nocy, gdy pocierał kamykami, wynosił mi coś do zjedzenia. Żalił się raz ze łzami w oczach: za co mnie tak prześladowują?*

Ciało zamordowanego (...) *zabrali z miejsca zastrzelenia i zagrzebali na terenie Sowlin koło byłego budynku Milicji Powiatowej. Próbowałem na podstawie dokumentów IPN i świad-*

ków ustalić miejsce. Po długich latach przeważała opinia życzliwych ludzi, aby z tych miejsc zabrać ziemię – prochy – nasiąknięte krwią i odprawić pogrzeb chrześcijański - kontynuuje ksiądz Jan Bukowiec w czasie uroczystości pogrzebowej. Tylko tyle albo aż tyle po latach mógł uczynić dla starszego brata. Słowa księdza biskupa Władysława Bobowskiego przypominały zgromadzonym sprawy ostateczne. To one (...) pozwalają mam żyć w prawdzie, miłości, sprawiedliwości, uczciwości wobec Boga i ludzi, i w ten sposób zasłużyć sobie na wieczną nagrodę (...). Na zakończenie ksiądz Jan Bukowiec podziękował wszystkim za udzielone wsparcie. Po zamordowaniu Władysława przyszły na rodzinę ciężkie czasy. Aresztowano i skazano na wieloletnie więzienie brata Kazimierza i siostrę Helenę. Cała wieś na skutek tych wydarzeń przeżyła wielką tragedię, a sumienia często wypełnił niepokój. Zginęło w sumie 7 osób, a 36 zostało aresztowanych. Pamiętać należy, że od podjęcia trudnej decyzji poddania się wbrew złożonej przysiędze powstrzymywała zapewne również obawa wydania w śledztwie krewnych i sąsiadów, którzy pomagali trwać i walczyć młodym niepokornym. Szacuje się, że pomocy ukrywającym się udzielało około 100 osób.

Po nabożeństwie trumna przeniesiona została na cmentarz w pobliżu rodzinnego grobowca.

Ksiądz Jan Bukowiec poinformował zebranych: *w trumnie znajdują się: ziemia i prochy śp. Władysława Bukowca z miejsca zabójstwa na tzw. Limierzu przy kryjówce w lesie, gdzie wypadł mu różaniec znaleziony przez gajowego Józefa Pajora oraz z miejsca domniemanego zakopania w Sowlinach; ziemia i prochy z grobu śp. ks. kanonika Wojciecha Bukowca, który zmarł z Żurowej i jego rodziców Piotra i Marianny Bukowiec, fundatorów Kaplicy Najświętszego Serca Pana Jezusa, z której powstał nieduży Kościół, a później parafia; ziemia i prochy następnego pokolenia, to jest moich rodziców: Zofii po pierwszym mężu Janie, który umarł na tzw. hiszpankę oraz drugiego męża Józefa i ich syna Kazimierza, wieloletniego więźnia za udział w NOW (...) w grobowcu będzie umieszczona urna zawierająca ziemię z Katynia i Kuropat, gdzie wymordowano ponad 100 tys. ludzi.*

Uroczystość zakończył apel poległych i odmawiane w duszy: *Wieczny odpoczynek racz im dać Panie (...) i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom ...*



Długo oczekiwane (po 60 latach) pożegnanie brata przez siostrę Helenę.

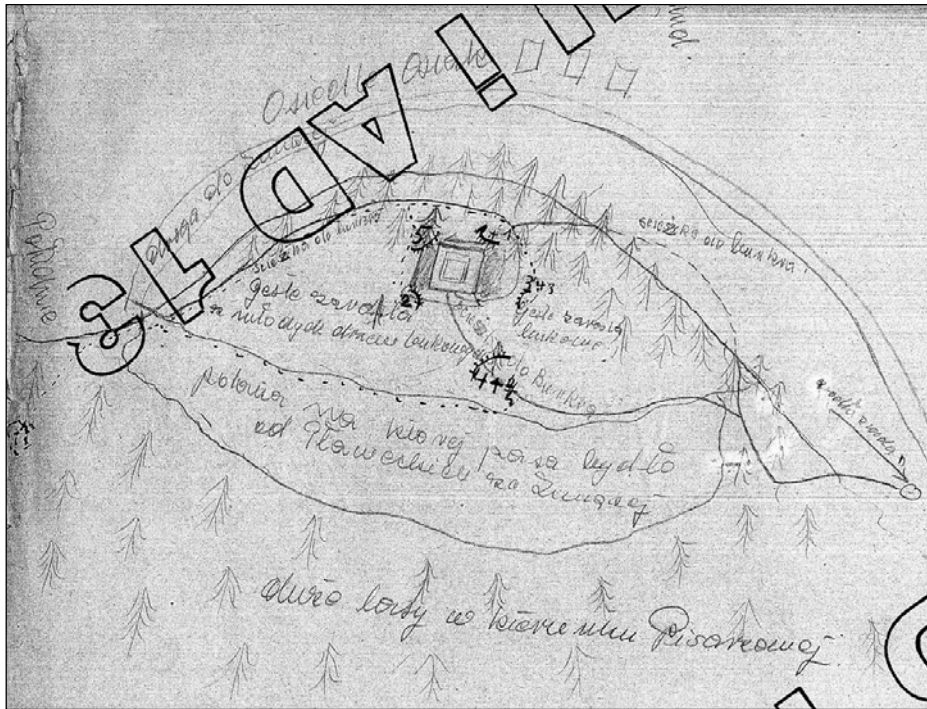
Fakty

Nielatwo dziś zrozumieć tragizm wydarzenia, jakie miało miejsce na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych dwudziestego wieku we wsi Żmiąca. Przeżywało go wielu młodych ludzi, którzy mieli inne spojrzenie na istniejącą wówczas rzeczywistość i za to musieli płacić najwyższą cenę. Swoje życie.

Aby Czytelnik posiadający minimum wiedzy o wydarzeniach z latych powojennych mógł wyobrazić przenieść się w tamte lata i znaleźć prawdę, przedstawiamy jeden z dokumentów, który opisuje plan likwidacji ukrywających się, Władysława Bukowca i Kazimierza Augustyna, w kryjówce, którą nazwano „bunkrem” usytuowanym w kompleksie leśnym Limierz między Jaworzem a Sałaszem. Plan ten został sporządzony 6 września 1950 roku.

Materiały archiwalne z IPN ze zbiorów prywatnych udostępnił redakcji ks. prałat Jan Bukowiec, emerytowany proboszcz parafii św. Stanisława Kostki w Sowlinach.

Opis miejsca ukrycia a później tragedii (w tym terenie został zastrzelony z ukrycia Władysław Bukowiec 7 września 1950 roku), sporządzili funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa. Po dokonaniu przez nich zwiadu napisali protokół, do którego dołączyli szkic sytuacyjny narysowany ołówkiem. Poniżej prezentujemy szkic z wybranych fragmentami tekstu z protokołu.



„(...) W dniu 5 IX 1950 roku grono czterech funkcjonariuszy UB udało się do lasu Limierz celem sprawdzenia danych od kontaktów poufnych o istnieniu ukrycia „bunkra” w lesie. Grupa ta uzyskała potwierdzenie danych i stwierdziła, iż w lesie Limierz od strony południowej w zboczu zalesionym młodym lasem bukowym znajduje się bunkier zbudowany z desek, pokryty papą z drzwiami odwróconymi na południe. Wewnątrz znajdowały się: łóżko polowe podwójne, zerdzewiały RKM systemu Dryfterowa, granat zaczepny, dubeltówka oraz niedawno ugotowana w garnczku kura, świeże mleko w dzbanku, kilka bochenków chleba, słonina, naczynia do gotowania, piecyk żelazny oraz garderoba bandytów. Wyszczególnione przedmioty świadczą, że bandyci na kilka godzin przed przybyciem grupy UB do ich meliny odeszli z pewnością na wieś. Przypuszczenia potwierdzają doniesienia, iż bandyci przebywają tylko dzień w bunkrze natomiast na noc schodzą do swoich rodzin do wsi (...)”



Polana Limierz, w górnej części Żmiącej. Symboliczna mogiła na miejscu zastrzelenia Władysława Bukowca.

W protokole tym znajduje się szczegółowy opis przygotowań do akcji likwidacji grupy. Przedstawiamy ostatni akapit z tego protokołu.

„(...) W razie stwierdzenia nieobecności bandytów w bunkrze, grupa o sile 6-ciu ludzi zorganizuje zasadzkę wokół bunkra z zadaniem likwidacji bandytów w razie ich pojawienia się. Zasadzka trwać będzie 5 dni. Reszta grupy o sile 2 ludzi uda się natychmiast do PUBP Limanowa, gdzie z grupą KBW znajdującą się na powiecie do rozbrajania terenu, przystąpi do penetracji wsi Żmiąca, ze szczególnym zwróceniem uwagi na rodziny bandytów oraz ich współpracowników. Przedsięwzięcie to ma na celu wypędzenie bandytów ze wsi i zapędzenie ich do bunkra celem likwidacji (...)”

Tekst: Stanisław Król,
Stanisław Ocieпка

Fot.: arch. rodziny Bukowców,
Zbigniew Grochot,
Stanisław Król,
Marian Szewczyk



Zielony Balonik i Stasiuk w bibliotece

14 października Limanowski Klub Literacki gościł delegację Polsko-Szkockiego Klubu Książki z Edynburga. Na okoliczność ich przyjazdu i pobytu, zjawił się też w Limanowej po raz kolejny pisarz Andrzej Stasiuk.



ZIELONY BALONIK, bo taką nazwę nosi ten edynburski klub, to taki dyskusyjny klub książki, interesujący się polską kulturą, a przede wszystkim literaturą. Tworzą go osoby mające różne personalne i osobiste związki z Polską. Ale nie tylko, bo należą do niego także szkoccy uczestnicy, nie mający co prawda z naszym krajem żadnych powiązań prywatnych, ale są zainteresowani polską literaturą, czy nawet szerzej: kulturą właśnie albo też historią. ZIELONY BALONIK jest samoistnym klubem, tzn. nie pomaga i nie wspiera go żadna tamtejsza instytucja kultury. Sami sobie organizują swoją działalność. Przez tydzień w październiku przebywali w Polsce (Kraków) i chcieli spotkać się z tożsamym polskim klubem oraz pisarzem, którego twórczość znają. LKL-owi i limanowskiej bibliotece zaproponowano zorgani-

zowanie takiego spotkania, a oni „podnieśli rzuconą przez Kraków rękawicę”. No i 14.10. szkocka delegacja, godzinaami południowymi, dotarła do Limanowej w liczbie 6 osób (Grażyna Fremi, Robin Connelly, Magda Montgomery, Krystyna Szumelukowa, Elwira Grossman, Larisa Hamilton). Po okazjonalnych powitaniach, szybkim zaznajomieniu się i dyskusji, goście ze Szkocji wybrali się do limanowskiego Muzeum. Oprowadził ich po nim, dzieląc się fachową wiedzą, Zbigniew Sułkowski. Następnie ruszyli w stronę nieodległego „Starego Browaru” na posiłek. Po obiedzie wrócili do biblioteki na spotkanie z pisarzem i członkami LKL-u. Przed spotkaniem jeszcze powitał ich przybyły już Andrzej Stasiuk i burmistrz Marek Czeczółka, wręczając okazjonalne suweniry.

Samo spotkanie było dość kameralne, ale bardzo miłe i merytoryczne, jak idzie o dyskusję z p. Andrzejem na temat jego twórczości i kilku innych obocznych zagadnień. Odbywało się w „polsko-angielskiej wersji językowej”, ale nikt nic nie tracił, bo jego całość była świetnie tłumaczona przez Grażynę Fremi. ZIELONY BALONIK na swych spotkaniach zapoznał się z dwoma tytułami Stasiuka – „Fado” i „Dziewięć”. Wokół tych książek orbitowała ich dyskusja z pisarzem, odnośnie jego twórczości. Ale to był tak naprawdę tylko wycinek, bo pojawiło się też dużo innych zagadnień. Stasiuk, standardowo już w Limanowej, był w świetnej formie. Zresztą – kto choć raz był na limanowskim spotkaniu z nim, to wie, jaki jest. Prawda: jest na literackim świecie polskim, ale tylko ze swoim dorobkiem. Bo personalnie to zupełnie normalny, inteligentny facet, z którym można ciekawie dyskutować na rozliczne sprawy i tematy. Bez żadnego gwiazdorskiego backgroundu, który nieobcy jest kilku co najmniej jego kolegom po piórze. Szkoci chyba szybko to zauważyli i podyskutowali sobie z nim naprawdę niezgorzej. W ogóle cały ten ich pobyt w Limanowej, choć chorobliwie krótki i intensywny przy tym, mocno im się spodobał. Nam natomiast bardzo podoba się ich działalność; to że środowiskowo, bez żadnego wsparcia z zewnątrz, opierając się tylko o własne chęci i uczestnictwo, będąc sterem-żeglarzem-okrętem: kapitalnie promują i upowszechniają polską literaturę i jej czytelnicтво w Szkocji. Jest to godne naprawdę wysokiego szacunku.

Kto wie – może jeszcze kiedyś ZIELONY BALONIK nadleci nad nasze miasto?

Limanowska biblioteka i klub literacki dali im bezterminowe i zawsze otwarte zaproszenie. Wiem to ze sprawdzonego źródła. ▶

Tekst: Sławek Łuźny
Fotografia: Bogdan Skrzekut

► „Był ambasadorem kultury regionu” - pożegnanie Ludwika Mordarskiego



Ludwik Mordarski (1929-2010)

21 września zmarł Ludwik Mordarski. Odszedł nagle nauczyciel wielu pokoleń limanowian, który uczył muzyki, miłości do folkloru i do Ojczyzny. Był twórcą Zespołu Regionalnego „Limanowianie”. Kontynuował dzieło swojego ojca, Mieczysława, prowadząc orkiestrę „Echo Podhala”. Umiłował folklor Ziemi Limanowskiej, był autorem wielu opracowań muzycznych. Zawsze mówił: „*Tam gdzie jest tradycja, gdzie pieśni ludowe, tam jest Ojczyzna*” – było to Jego życiowe motto.

W Bazylice Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej żegnała Go rodzina, najbliżsi, przyjaciele, a przede wszystkim zespoły regionalne z całego powiatu. Jak by przedwczesna, jesienna „Limanowska Słaza”, w której profesor zawsze uczestniczył. I w tej w roku ubiegłym, kiedy na jubileusz 40-lecia „Limanowian” przybył po leczeniu szpitalnym. W podniosłej atmosferze przy pieśni „Wśród gór Beskidu” (autorstwa śp. Ludwika Mordarskiego) rozpoczęło się nabożeństwo pogrzebowe. Nastroj i refleksje nad przemijaniem tworzyły utwory muzyczne zespołu „Limanowianie” i pieśni chóru „Canticum lubilaeum” wykonane w czasie mszy świętej koncelebrowanej, której przewodniczył ks. prałat Józef Poręba w asyście księży prałatów Jana Bukowca, Józefa Waśniowskiego oraz księży: Stanisława Śmierciaka, Tadeusza Sierosławskiego i Kamila Wróbla.

Mowę pogrzebową wygłosił burmistrz miasta Marek Czeczotka, który powiedział: „Pożegnaj po raz ostatni na

tej ziemi człowieka - niełatwa to sprawa. A jeszcze trudniejsza, gdy osoba ta była nam tak bliska jak śp. Ludwik Mordarski. Dzisiaj po raz ostatni żegnamy w ziemskiej rzeczywistości Ludwika Mordarskiego - dla społeczności miejskiej Honorowego Obywatela Miasta Limanowa, dla współpracowników Pana Ludwika, dla uczniów Profesora Mordarskiego, a dla nas wszystkich Wielkiego Człowieka.

Śmierć bliskiej osoby jest zawsze ciosem. Dziś cios ten przyjmujemy wszyscy razem, jednakże ból jest wciąż dotkliwy. Ból po stracie kogoś, kto był częścią naszego życia, kto swą obecnością stanowił pewną stałą i wytyczał pewien kierunek. Dziś zostaliśmy sami. Chyba każdy z nas czuje się trochę osierocony, pozbawiony jakiejś części życia, która wiązała się z tym Wielkim Człowiekiem.

Trudno jest mówić o osobie bliskiej, z którą jeszcze niedawno spotykaliśmy się, która tak nagle odeszła do tej nowej, lepszej i wiecznej rzeczywistości.

Na obraz będący wspomnieniem

człowieka składają się m.in. jego pochodzenie, opowieść życia, rodzina, powołanie życiowe, charakter, ale i nasze spotkania z nim. Każdy ocenia to inaczej, z innej perspektywy, ale wobec śp. Ludwika Mordarskiego we wszystkich ocenach jesteśmy zgodni. Wypełniając swoje życiowe powołanie i zadania był człowiekiem wielkiej pracowitości i sumiennosci. Był cenionym muzykiem-folklorystą, kompozytorem o niekwestionowanych zasługach dla kultury Ziemi Limanowskiej. Był wiernym i wytrwałym kontynuatorem rodzinnych tradycji muzykowania, był ambasadorem kultury ludowej regionu. Znany jako założyciel (41 lat temu) i kierownik Zespołu Regionalnego „Limanowianie”, podziwiany jako muzyk na wielu estradach folklorystycznych w kraju i za granicą. W 1965 r. stanął po raz pierwszy za pulpitem dyrygenckim orkiestry „Echo Podhala”, którą odziedziczył po swoim ojcu założycielu. Będąc magistrem wychowania muzycznego, ukończył z wyróżnieniem kurs dyrygentów z kategorią „S”. Z orkiestrą i zespołem uczestniczył w setkach koncertów, konkursów i przeglądów, komponując, aranżując i dbając o połączenie tradycji ze współczesnością. Swoimi występami i koncertami wzbogacał niemalże każdą uroczystość miejską i parafialną. W duchu umiłowania tradycji naszego regionu, a także w duchu patriotyczno-narodowym wychował kilka pokoleń muzyków. O bogatym dorobku artystycznym zmarłego świadczy spuścizna muzyczna, jaką po sobie zostawił. Był auto-



rem 3 suit opracowanych na orkiestrę, opartych na motywach ludowych: *Gorczańskiej, Lachowskiej, Pasterskiej*, twórcą pieśni religijnych: *Wśród gór Beskidu, Witaj nam Matko, Przebolesna Matko Boska*, współautorem IX tomu serii „Dziedzictwo kulturowe” pt. „*Muzyka Ziemi Limanowskiej*”, autorem opracowania „*Twórcy instrumentów ludowych i instrumentalści Ziemi Limanowskiej*, autorem opracowania „*Tańce ludowe z regionu limanowskiego*”, aż wreszcie autorem miejskiego hejnału, który codziennie w południe rozbrzmiewa echem z wieży kościoła.

Wszystkie te dokonania, o których tylko wspominałem nie są oczywiście kompletne, ale i nie były by on najważniejsze gdyby nie towarzyszyły im cechy ducha i charakteru śp. Ludwika Mordarskiego. Zapamiętamy Go przecież jako człowieka pracowitego, wymagającego, ale i zawsze pogodnego, uśmiechniętego, życzliwego ludziom i ich sprawom, skorego do bezinteresownego działania, otwartego na ludzi, miasto, inicjującego i realizującego nowe pomysły i inicjatywy. Jesteśmy tu przede wszystkim po to, by wspólnotą naszych serc i myśli zaświadczyć o tym, że pamięć o Zmarłym nigdy nie zostanie zatarta, że jego dzieło, a także osobowość, będą żyły w nas na zawsze.

Przemijanie, odchodzenie, śmierć - to nieodłączne elementy naszego życia.

Pamięć o śmierci uczy nas mądrości, której nie posiada ten, kto próbuje ją wyprzeć ze swego życia. Co zatem śmierć ma do powiedzenia nam, żywym? Mówi, że jesteśmy ograniczeni, że nasze dni są policzone, że przemijamy. Dlatego musimy cenić czas, zwłaszcza czas, który dane jest nam spędzić z tymi, których kochamy.

Żegnając dzisiaj śp. Ludwika Mordarskiego w imieniu miasta Limanowa i jego społeczności, dziękuję za zaangażowanie służące miastu i mieszkańcom. Dziękujemy Ci, drogi Panie Profesorze, że był Pan z nami. Żegnamy Pana dziś w wielkim smutku, ale także z wiarą w sercu, że Pana dzieło nie przeminie, że staniemy się jego godnymi kontynuatorami i przyczynimy się do jego rozwoju i upowszechniania wartości, które udało się przejąć od Pana. Pamięć o Panu zachowamy głęboko w naszych sercach!

„To, co daje sens życiu, daje także sens śmierci” - Panie Profesorze! Wierzymy, że od dziś dyrygować Pan będzie Orkiestrą Anielską, która echem trombit rozbrzmiewać będzie po wyżynach niebios (...).

Trumna z ciałem profesora Ludwika Mordarskiego spoczęła na cmentarzu parafialnym w Limanowej.

Opracował: Stanisław Ociepka
Fotografie: Zbigniew Dutka



► Ścieżka przyrodnicza „Limanowa-Jaworz”

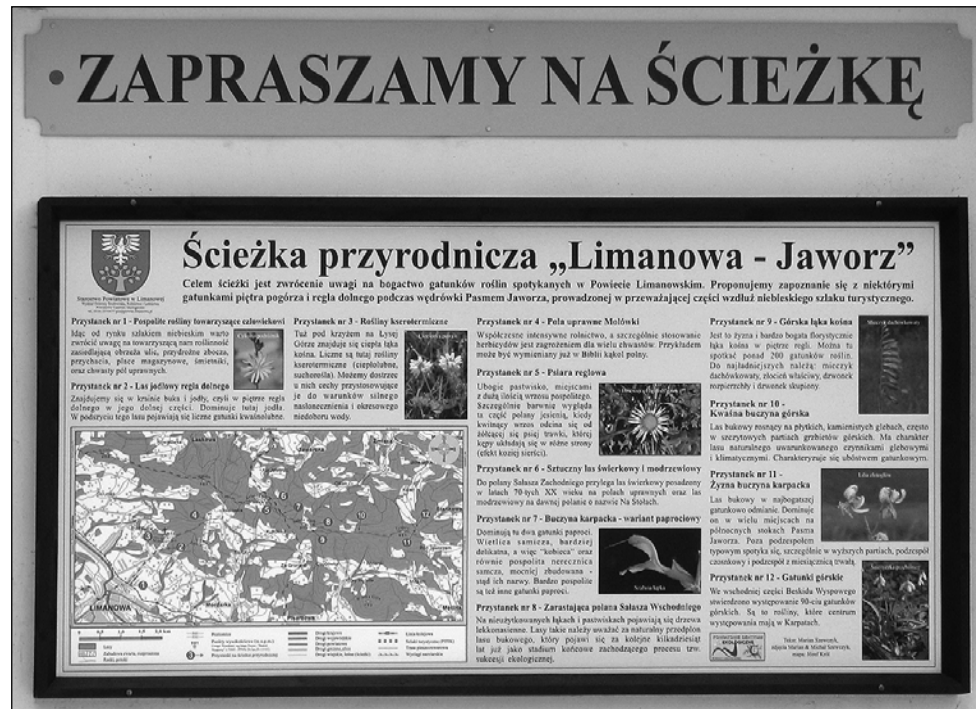
Starostwo Powiatowe w Limanowej, Wydział Ochrony Środowiska, Rolnictwa i Leśnictwa, Powiatowe Centrum Ekologiczne, przy dofinansowaniu ze środków Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Krakowie, wydało publikację promującą piękno powiatu limanowskiego, zatytułowaną „W krainie buka”.

Tekst napisał Marian Szewczyk, przy konsultacji merytorycznej Stefana Gawrońskiego i Stefana Bugajskiego. Mapę ścieżki przyrodniczo-edukacyjnej „Limanowa-Sałasz-Jaworz”, przygotował Józef Król. Fotografie ukazujące piękno przyrody wykonali: Marian i Michał Szewczyk. Publikacja drukowana była w drukarni „MM” w Limanowej.

Trasa ścieżki przebiega od Limanowej przez Miejską Górę, Sałasz, Jaworz. Są to szczyty Pasma Jaworza, położone w północno-wschodniej części Beskidu Wyspowego. Ścieżka rozpoczyna się przy tablicy informującej o przystanku pierwszym, znajdującym się na początku ul. Leśnej. Wznosi się na Miejską Górę, schodzi do osiedla Molówka, by znowu wspiąć się dość stromo na Sałasz Zachodni 863m n.p.m., stąd już bez dużych różnic wysokości do szczytu Jaworz 921 m n.p.m. Dla każdego z przystanków podano położenie geograficzne. Czas przejścia ścieżki to około 3,5 godziny.

W publikacji wypowiadają się o walorach przyrodniczych powiatu limanowskiego kolejno: starosta limanowski Jan Puchała oraz autor publikacji Marian Szewczyk. Jan Puchała napisał: *Cieszę się, że mam możliwość przedstawienia tak atrakcyjnego miejsca, jakim jest powiat limanowski. Zapraszam wszystkich w nasze strony, aby móc przekonać się, że pod hasłem promocyjnym Powiat Limanowski-Ostoja Natury i Zdrowia- kryje się spotkanie z regionem o pięknym krajobrazie, bogatym w niepowtarzalną kulturę i tradycje. Gdzie wyjątkowe nagromadzenie różnych form ochrony przyrody i chronionych terenów leśnych, stanowi bogate zbiorowisko krajobrazu naturalnego i kulturowego.*

Marian Szewczyk we wstępie napisał: *Aby przybliżyć walory Pasma Jaworza na trasie przyrodniczej ścieżki edukacyjnej: Limanowa- Sałasz- Jaworz, zapraszam na wspólną wę-*



drówkę w „krainę buka”. W szczególności pragnę przedstawić bogactwo rosnących tu roślin. Wiele z nich posiada właściwości użytkowe. Wśród nich są gatunki rzadkie, zagrożone i chronione. Bardzo wiele zalicza się do roślin o najpiękniejszych kwiatach polskich. Warto zachwytać nad pięknem krajobrazów górskich połączyć z obserwacją bogactwa i urody szaty roślinnej, wśród której wędrujemy.

Życzę interesujących przeżyć, przypominając, że przyroda odkrywa swoje tajemnice osobom zachowującym się dyskretnie.

Redakcja „Echa Limanowskiego” przyłącza się do tych życzeń.

Stanisław Ociepka

Konkurs wiedzy o ochronie przyrody - rozstrzygnięty



12 października 2010 w budynku Starostwa Powiatowego w Limanowej odbył się finał „I powiatowego konkursu wiedzy o ochronie przyrody na terenie powiatu limanowskiego”.

Redakcja „Echa Limanowskiego”, która objęła patronatem I powiatowy konkurs wiedzy o ochronie przyrody, przypomina, że celem konkursu była popularyzacja wiedzy o ochronie środowiska, kształtowanie świadomości przyrodniczej oraz wypracowanie wrażliwości społecznej wśród młodzieży szkolnej na różne formy ochrony przyrody.

Organizatorem konkursu było Starostwo Powiatowe w Limanowej, a nadzór merytoryczny nad przeprowadzeniem konkursu sprawowało Powiatowe Centrum Ekologiczne działające w Wydziale Ochrony Środowiska, Rolnictwa i Leśnictwa. Współorganizatorami konkursu było Państwowe Gospodarstwo Leśne Lasy Państwowe Nadleśnictwo Limanowa oraz Liga Ochrony Przyrody Oddział Limanowa.

Konkurs również uzyskał dofinansowanie z Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Krakowie.

W konkursie wzięło udział 149 dzieci i młodzieży z całego powiatu limanowskiego. Konkurs przeprowadzony był w formie pisemnego testu w trzech kategoriach wiekowych.

Następnie dzieci i młodzież udali się do hali sportowej przy ul. Jordana 3, gdzie obejrzeli estradowe show teatralno-ekologiczne pn.: „Historia zaginionego Papierka”, przygotowane przez Krakowskie Biuro Promocji Kultury oraz Teatr POZYTYWKA.

Po zakończeniu spektaklu nagrody w konkursach wręczyli: starosta limanowski, Jan Puchała, wicestarosta limanowski, Franciszek Dziedzina, członek Zarządu Bolesław Żaba, dyrektor Wydziału Ochrony Środowiska, Rolnictwa i Leśnictwa, Anna Fabia, prezes Ligi Ochrony Przyrody o. Limanowa, Małgorzata Cedzidło oraz nadleśniczy Nadleśnictwa Limanowa, Jan Legutko.

Jan Puchała, starosta limanowski wręcza nagrody laureatom konkursu.

LAUREACI KONKURSU

Kategoria dzieci w wieku szkoły podstawowej

I miejsce: *Jakub Tokarz* Zespół Szkół w Ujanowicach; **II miejsce:** *Sylwia Filipiak* Szkoła Podstawowa w Chyszówkach; **III miejsce:** *Małgorzata Janik* Szkoła Podstawowa w Roztoce.

Wyróżnienia I stopnia: *Kinga Sobczak* Szkoła Podstawowa w Podłopieniu; *Aleksandra Łącka* Szkoła Podstawowa w Kamionce Małej; *Ewelina Kowalska* Szkoła Podstawowa w Chyszówkach.

Wyróżnienia II stopnia: *Paulina Kaczor* Zespół Placówek Oświatowych w Jurkowie; *Piotr Zelek* Szkoła Podstawowa w Jaworznej; *Iwona Plawecka* Szkoła Podstawowa w Kamionce Małej.

Kategoria dzieci w wieku szkoły gimnazjalnej

I miejsce: *Aneta Mrózek* Zespół Placówek Oświatowych w Jurkowie; **II miejsce:** *Małgorzata Gołąb* Zespół Szkół w Ujanowicach; **III miejsce** *Maciej Smoter* Zespół Szkół Samorządowych nr 3 w Limanowej.

Wyróżnienia I stopnia: *Dominika Gołąb* Zespół Szkół w Ujanowicach; *Bogdan Marek* Zespół Placówek Oświatowych w Dobrej; *Krzysztof Dziedzic* Zespół Szkół w Ujanowicach.

Wyróżnienia II stopnia: *Marta Klag* Gimnazjum w Łukowicy, *Anna Woś* Publiczne Gimnazjum w Skrzydłnej, *Magdalena Zając* Publiczne Gimnazjum w Skrzydłnej.

Kategoria dzieci w wieku szkoły ponadgimnazjalnej

I miejsce: *Anna Luberda* ZSP w Mszanie Dolnej; **II miejsce:** *Maciej Zborowski* ZS nr 1 w Limanowej, **III miejsce:** *Tomasz Wójcik* ZSTiO w Limanowej.

Wyróżnienia I stopnia: *Anna Noworolnik* IV LO w Limanowej, *Anna Burdek* IV LO w Limanowej, *Maciej Bugajski* I LO w Limanowej.

Wyróżnienia II stopnia: *Anna Malec* Zespół Szkół Ponadgimnazjalnych w Mszanie Dolnej, *Justyna Liszka* I LO w Limanowej, *Andrzej Górski* IV LO w Limanowej
Serdecznie gratulujemy!

Stanisław Ociepka

► LKL na MPJ 2010

Młodzi limanowscy poeci ponownie mieli okazję zaprezentować się na forum międzynarodowym. Wykorzystali ją całkowicie.

W dniach 17-19 września w słowackim Martinie odbyła się kolejna edycja Martińskiej Poetyckiej Jesieni. Jest to jedna z największych międzynarodowych imprez poetyckich, organizowanych na Słowacji. Realizuje ją Biblioteka Turčianska w Martinie, a jej głównym personalnym organizatorem i „nadzorcą” jest Tana Sivová, opiekun działającego tam Klubu Literackiego Duria (*Tana, dziękujemy za wszystko i pozdrawiamy! – limanowscy literaci*).



Przed bramą wejściową na zamek Orawski, od lewej: Jacek Sejmej, Magdalena Włodarczyk, Sławek Łużny.

W MPJ biorą udział zaproszone kluby literackie z Polski, Czech, Węgier i Słowacji. Taka to trochę literacka Grupa Wyszehradzka. W roku ubiegłym po raz pierwszy do udziału w MPJ została zaproszona delegacja Limanowskiego Klubu Literackiego, działającego przy Miejskiej Bibliotece Publicznej.

I musiała chyba wypaść na tyle nieźle, że nie zabrakło jej i roku obecnego. Mało tego: Limanowski Klub Literacki – jak udało się nam kuluarowo i nieoficjalnie dowiedzieć – został pozwany jako jeden z pierwszych. I zaprezentował się równie zacie jak rok temu, na każdym chyba odcinku całej imprezy: formalnym, reprezentacyjnym, towarzyskim, niefor-

malnym, (para)sportowym i interleksykalnym – bo i takie działania podczas tegorocznej edycji MPJ się ujawniły. Impreza rozpoczęła się w piątek 17 września częścią oficjalną w Bibliotece Turčianskiej. Wszystkich powitała Tana Sivová, przedstawiła zebrane kluby literackie i ich uczestników. No i ruszyły prezentacje. W tym roku było w tej kwestii inaczej niż w ubiegłym. Poszczególne teksty nie były prezentowane przez autorów, ale przez dwoje profesjonalnych lektorów. Oni, kobieta i mężczyzna, naprzemiennie czytali wiersze poetów. Kapitalnie to czynili, uwierzcie. Utwory „naszych” zaprezentowane zostały w języku polskim, bez żadnego – najmniejszego choćby – lapsusa czy przejęzyczenia. Zrobiły wrażenie, uwierzcie. Prezentacje tekstów literackich przetykane były występami muzycznymi: lokalnej młodej słowackiej gitarzystki i chóru seniorów. I ten chór to było coś pięknego. Starsze osoby, świetnie śpiewające, maksymalnie zaangażowane w występ i do tego pięknie go prowadzące. A jak już wykonali *Góralu, czy ci nie żal* w polsko-słowackiej wersji tekstowej, to już w ogóle był odlot. Po tych prezentacjach uczestnicy zostali przewiezieni i zaokrętowani w uroczym, ulokowanym poza miastem Pensjonacie Jarabina, w samym środku gór. Tam prowadzono dalsze działania poetycko-zapoznawczo-towarzyskie.

Na drugi dzień, rano, wyruszono w góry i do wczesnego przedpołudnia przemieszczano się po nich. Po powrocie do Pensjonatu, wykorzystując świetną aurę, zorganizowano przed nim kolejną sesję autorskich prezentacji poetyckich, wraz z dyskusjami. Fajnie to wszystko grało i wyglądało, a język był najmniejszą i mało istotną barierą. Po obiedzie nastąpiła część sportowo-zręcznościowa. Tradycyjny Turniej Petanque Cup o prawdziwy, złotem inkrustowany Puchar MPJ! Męska reprezentacja limanowskiej delegacji zajęła w nim zupełnie dobre miejsce tuż za podium. Natomiast w części żeńskiej zawodów szans swoim rywalom z Czech, Węgier i Słowacji nie dała Magda Włodarczyk, limanowska poetka. Bezapelacyjnie i gładko zostawiła wszystkie inne zawodniczki w polu i została – do przyszłego roku co najmniej – Międzynarodową Miss Petanque! To, że Magda pisze dobre wiersze wiedzieliśmy od dawna, ale że tak sprawnie i precyzyjnie umie ciskać i toczyć kule? Nieby-



W centrum w Martinie. Stoją od lewej: dr Milan Gonda, Sławek Łużny, Jacek Sejmej, Magdalena Włodarczyk.

wale... Po zawodach, wieczorem – przy żywej muzyce – prowadzono dalsze działania poetycko-towarzyskie. Powoli, powoli jednakże – im głębiej w noc – czuć było już w powietrzu i otoczeniu, że tegoroczna edycja MPJ jednak dopełnia się i przechodzi do historii. Następnego dnia, rano po śniadaniu i wzajemnych pożegnaniach, odczucia te stały się faktem.

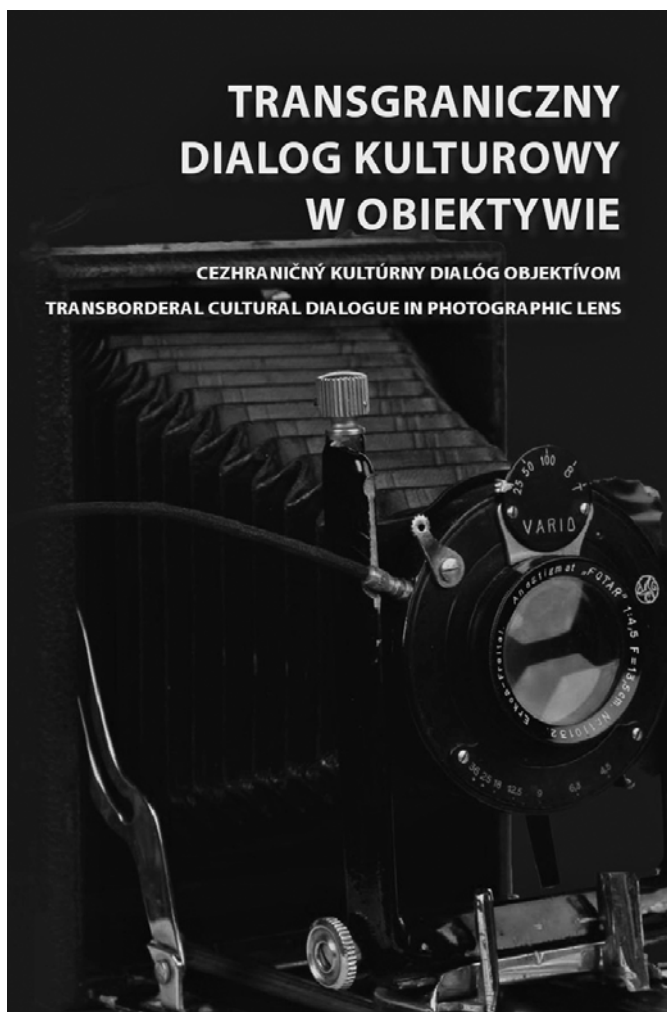
Poniżej krótkie komentarze dwójki limanowskich uczestników tegorocznej imprezy:

Jacek Sejmej: *Tegoroczna MPJ trzymała poziom. Miło było zobaczyć się z ludźmi, których poznaliśmy rok temu, jak również poznać nowych, wartościowych twórców zarówno prozy, jak i poezji. Już dziś czekam na kolejną edycję, a także liczę na to, że w końcu Limanowa odwdzięczy się za ciepłe przyjęcie i również zorganizuje coś podobnego.*

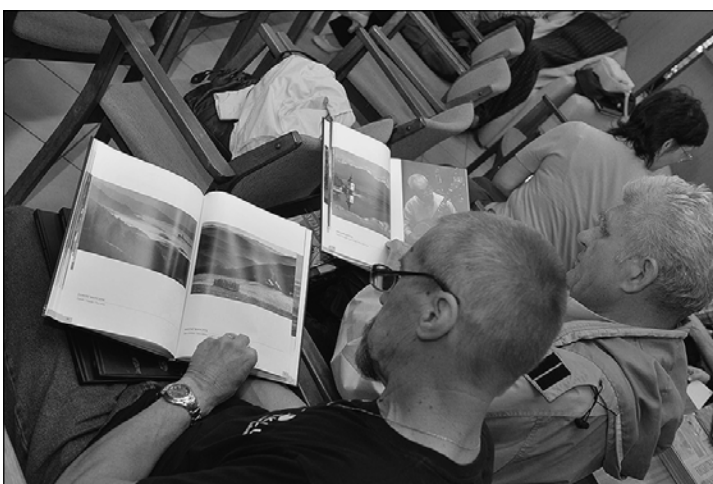
Magda Włodarczyk: *Wyjazd na Martińską Poetycką Jesień był moim pierwszym, ale mam nadzieję, że nie ostatnim, tego typu wyjazdem. Wspinali ludzie, możliwość obcowania z ich twórczością i promowania własnej oraz okazja do poznania Słowacji z nieco innej strony, niż państwa słynącego z basenów termalnych - to powody, dla których jestem bardzo wdzięczna limanowskiej bibliotece za zaproszenie mnie na ten wyjazd.*

**Tekst: Sławek Łużny
Fotografie: Bogdan Skrzekut**

Dialog w obiektywie - promocja fotoalbumu



Okladka albumu.



Promocja albumu od (góry) w Limanowej i Dolnym Kubinie.

We wrześniu, najpierw w Limanowej a następnie w Dolnym Kubinie, odbyły się spotkania promocyjne albumu będącego pokłosiem polsko-słowackiego fotokonkursu pn. TRANSGRANICZNY DIALOG KULTUROWY W OBIEKTYWIE. Fotoalbum - w polsko-słowacko-angielskiej wersji językowej - zawiera nagrodzone i wyróżnione w konkursie fotografie. Jest ich tam ogółem 95, przy 81 autorach. 10 września zaprezentowany został w limanowskiej Miejskiej Galerii Sztuki.

Świetne, piękne, profesjonalne, godne pozazdroszczenia i pogratulowania, super wydane, różnorodne fotograficznie, bardzo interesujące. Te przymiotniki to nie frazy ad hoc wymyślone przez organizatora i zainkorporowane na potrzeby promocyjne. Te przymiotniki (i im podobne) to frazy wypowiedziane przez uczestników spotkania zupełnie subiektywnie, bezinspiracyjnie, autorsko i w pierwszym zetknięciu z wydawnictwem... *Tak, to prawda. Dużo ciepłych słów z różnych stron zebraliśmy, jako organizator, odnośnie tego całego fotograficznego projektu.* - potwierdza dyrektor biblioteki Halina

Matras. Autentycznie zaskoczeni byliśmy też liczbą fotografów, jaka przystąpiła do konkursu (niemal setka - przyp. red.). Obawialiśmy się, na etapie przygotowywania tego projektu, czy fotokonkurs spotka się w ogóle z takim zainteresowaniem, aby go sprawnie i skutecznie przeprowadzić i ewaluować wraz z wydaniem fotoalbumu. A tutaj proszę... Okazało się, że równie duże zainteresowanie - jak fotokonkursem - towarzyszyło też „fotokonkursu fotoefektami”. Bardzo dużo osób zwiedzało pokonkursową wystawę, gdy była prezentowana zarówno w Limanowej, jak i Dolnym Kubinie. Moc ich też

przyszła na limanowską promocję fotoalbumu. Miała ona z początku formę multimedialną, bo organizator przygotował fotograficzną prezentację z muzycznym podkładem, której *clue* były konkursowe fotografie. Potem głos zabierali organizatorzy, zaproszone władze oraz sami autorzy zdjęć. Generalnie - wszyscy wzajemnie sobie dziękowali i gratulowali. Nie dziwi to zbytnio, bo wygląda na to, że projekt TRANSGRANICZNY DIALOG KULTUROWY W OBIEKTYWIE (polsko-słowacki fotokonkurs, pokonkursowe wystawy, wydawnictwo fotoalbumowe promowane po polskiej i słowackiej stronie granicy) nie miał słabych punktów. Dowód? Organizatorzy już wstępnie myślą o pewnego rodzaju fotograficznej kontynuacji (aczkolwiek innej formule), ale to sprawa przyszłości i dobrej koincydencji kilku czynników, z finansowym na czele.

20 września w Bibliotece Orawskiej Antona Habovštiaka w Dolnym Kubinie był słowacki etap promocji. Gościnne honory współgospodarza tego spotkania (jakby to dziwnie nie brzmiało) pełniła wcale liczna delegacja z Limanowej. Oczywiście odbywało się to z pomocą i wsparciem pracowników Biblioteki Orawskiej z dyrektorem Peterem Huba na czele. Powitał on wszystkich zebranych (licznie) na początku. Podkreślił świetną ideę realizowania wspólnych projektów kulturalnych z funduszy europejskich, konkludując, że jest to kapitalny instrument do zbliżania i przenikania społeczności po obydwu stronach granicy. Dyrektor limanowskiej MBP szczerze podziękowała wszystkim słowackim uczestnikom konkursu. *To dzięki Wam, Waszym pięknym fotografiom, ten fotoalbum jest taki właśnie, jaki jest. Mam nadzieję, że przypadnie Wam do gustu. Jestem też przekonana, że nie jest to ostatnie przedsięwzięcie fotograficzne, w jakim wspólnie uczestniczymy. My, jako limanowska biblioteka, będziemy pracować nad tym, byśmy – niechby i nawet w przyszłym roku – wspólnie zrealizowali jakiś kolejny projekt z fotografią w tle* – obiecała Halina Matras. Następnie odtworzono multimedialną prezentację fotograficzną z podkładem muzycznym. Po prezentacji mini koncert dał Łukasz Jemiola, młody (aczkolwiek już zdolny) limanowski bard. Limanowianom nie potrzeba go przedstawiać, bo jest, nie tylko tu, już niezłe znany, z realnymi sukcesami artystycznymi, popartymi krajowymi i międzynarodowymi nagrodami. Łukasz, ze swoim wokalem i gitarą, zaprezentował się tak, że przez prawie całą dalszą część promocji kubińskiej musiał nadprogramowo jeszcze ciągnąć swój występ, a znaczna część słowackiego audytorium siedziała i się przysłuchiwała z uznaniem. W międzyczasie rozpoczęły się kulturalne dyskusje i rozmowy: i o fotoalbumie, i o innych sprawach. Spotkanie zakończyły wzajemne podziękowania, których lejtymotywym przewodnim było jednak hasło: do następnego...

Fotoalbum wydany został w ramach realizacji szerszego polsko-słowackiego mikroprojektu pn. TRANSGRANICZNY DIALOG KULTUROWY.

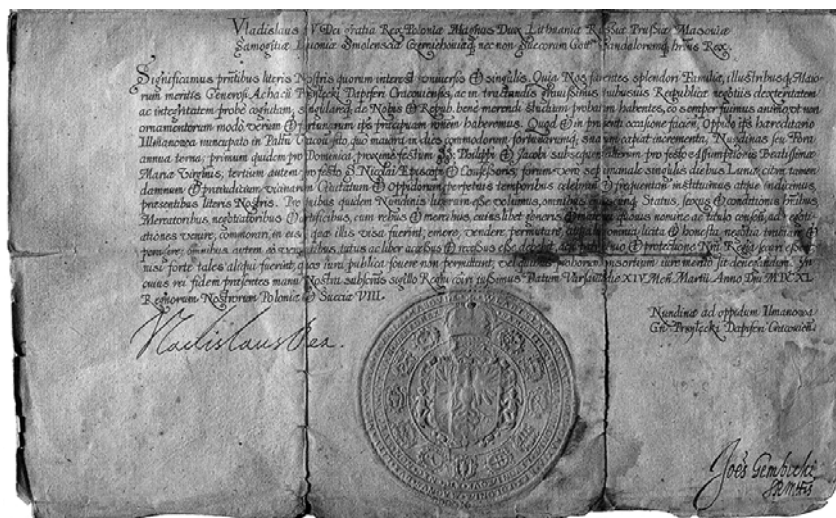
Organizator projektu: Miejska Biblioteka Publiczna w Limanowej.

Słowacki partner: Oravská Knihnica A. Habovštiaka w Dolnym Kubinie.

Projekt współfinansowany jest przez Unię Europejską z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego oraz budżetu państwa za pośrednictwem Euroregionu Tatry w ramach Programu Współpracy Transgranicznej Rzeczpospolita Polska-Republika Słowacka 2007-2013.

Tekst: Sławek Łużny
Fotografie: Bogdan Skrzekut

Przywileje miasta Limanowa



Oryginalny przywilej wydany w 1713 roku przez króla Augusta II Mocnego.

Pierwsza historyczna wzmianka o Limanowej pochodzi z 1498 roku i mówi o wsi Ilmanowa, której właścicielami są: Stanisław i Piotr Słupscy herbu Drużyna. Nie jest to jednak metryka tej miejscowości, mówi bowiem o wsi już istniejącej.

U podstaw dziejów dzisiejszego miasta Limanowa jest dokument z 12 kwietnia 1565r., wystawiony dla ówczesnego właściciela tych włości – Stanisława Jordana herbu Trąby. Miejscem wystawienia tego szacownego dokumentu jest Piotrków Trybunalski, w którym ówczesnym zwyczajem odbywały się sejmy. W dokumencie tym król Zygmunt August zezwala na podniesienie części wsi Ilmanowa do rangi miasta, stać się to miało przy zachowaniu modnego wówczas prawa magdeburckiego. Władzę sądowniczą w nowym mieście miał sprawować uprzywilejowany wójt wraz radą przysiężnych. Podstawą gospodarczego bytu miasteczka miały być dwa doroczne jarmarki wypadające na dzień świętych - Katarzyny i Mikołaja oraz cotygodniowe targi organizowane w każdą sobotę.

Owe jarmarki i targi będą główną treścią późniejszych dokumentów królewskich wystawionych na prośby właścicieli miasta.

I tak: w 1603 r. król Zygmunt III Waza przenosi terminy jarmarków na dogodniejsze terminy – 1 maja i 15 sierpnia. W 1640r. król Władysław IV na prośbę ówczesnego właściciela Limanowej-Achacego Przyłęckiego zezwala na organizowanie 3 jarmarków w ciągu roku. Cotygodniowe targi zostały przeniesione z sobót na poniedziałek- w miasteczku zaczynają się bowiem osiedlać Żydzi, którzy w sobotę świętowali. Treść powyższych dokumentów znamy z oryginałów bądź ich odpisów dokonanych w czasach zaboru austriackiego.

W ubiegłym roku limanowskie Muzeum wzbogaciło się o oryginał przywileju wydanego w 1713 r. przez króla Augusta II Mocnego, który na prośbę ówczesnego dziedzica miasta- Michała Schwarzenberga-Czernego, ustanawia w mieście 12 jarmarków. Dokument ów, uważany za zaginiony, odnalazł się przy okazji aresztowania przez krakowską policję złodzieja, który m.in., jako pracownik, okradł archiwum Wawelu. Nie wiemy, w jaki sposób wszedł w posiadanie limanowskiego dokumentu, ale udało nam się udowodnić prawa do jego zwrotu, co stało się po zakończeniu policyjnego i prokuratorskiego śledztwa i procesie.

Dokument ów jest o tyle ważny, iż po raz pierwszy użyta jest wspólna nazwa miasta - Limanowa.

Ostatni dokument z tej serii pochodzi z 1798 r. – czyli już z czasów „austriackich”. By go uzyskać miasto wysłało do Wiednia specjalnego posła. Cesarz austriacki Franciszek Leopold zezwolił na organizowanie w Limanowej w ciągu roku 18 jarmarków – czyli co trzeci tydzień.

Tekst: Jan Wielek; Fotografie: Dariusz Ociepka

Wiatr we włosach

Rajd im. Józefa Staniszewskiego? Moim zdaniem doskonała impreza. Przeczytajcie relacje z wydarzeń, które miały miejsce 24 września.

Wraz z całą moją klasą udaliśmy się na trasę nr 1, której głównym szczytem było najwyższe wzniesienie w Beskidzie Wyspowym, Mogielica.

Już przed wejściem do autobusu wiedziałam, że ta doba na długo zapadnie mi w pamięci. Ostatnie pożegnania z koleżankami, które udają się w inne strony Małopolski, głęboki oddech i ruszamy.

Nie mogliśmy czekać do wieczora, to nie w naszym stylu. Gdy tylko kierowca uruchomił silnik, my wprawiliśmy w ruch nasze krtanie. Zdziwiło mnie to, że żaden z opiekunów nie zwrócił nam uwagi w czasie, gdy wydobywaliśmy z siebie „ciekawe” słowa piosenek – wnioskuje, że bawili się równie dobrze.

Dojazd trwał około godziny. Matko, to już?

Po wyjściu obowiązkowe formalności oraz przedstawienie najmłodszego tegorocznego uczestnika - pięcioletniego Mateusza. Idziemy!

Pierwszy postój, jemy. Drugi postój, ... jemy. Trzeci postój, tylko nieliczni pozostali z jakąkolwiek ilością picia, więc – jemy.

Okolo godziny 14. dotarliśmy pod szczyt Mogielicy. Usiedliśmy na łące, z której widać było piękne widoki, cieszące ludzkie oko. Góry otulone były promieniami słońca, a u ich podnóży unosiła się lekka mgła zasłaniająca dokładnie niedoskonałości stworzonej przez człowieka infrastruktury. Nie mam wątpliwości, co do tego, że w pełni zasłużyły sobie na miano wysp. Dzięki dobrej widoczności mogliśmy zobaczyć nawet zarys Tatr oraz pasma górskie Beskidu Sądeckiego.

Siedząc w samotności i ciesząc się jak małe dziecko z powodu wiatru, który w spo-



sób artystyczny układał moje włosy, usłyszałam Pana Andrzeja (przewodnika), wokół którego zebrało się liczne grono słuchaczy. Przyznam się, byłam zbyt ciekawa, by nie podnieść się i nie pobiec w ich stronę. Było warto, Pan Andrzej okazał się niezmiernie interesującą osobą i towarzyszył mi, bądź, jak kto woli, ja towarzyszyłam jemu do samego końca wyprawy.

Dosyć tego dobrego, przed nami jest cel naszej wędrowki!

Już prawie, jeszcze kilka kroków. Jestem. Tak, muszę się pochwalić, wraz z koleżanką przybyliśmy pierwsze, dobrych parę minut przed resztą grupy, toteż mogłam pozwolić sobie bez niepotrzebnych komentarzy na samotne pokonanie siebie. Mimo panicznego lęku, krok po kroku weszłam na wieżę widokową. Nieważne, że leżałam na podłodze, że przyczołgałam się do barierki, liczy się fakt, że zobaczyłam cudowną panoramę okolic.

Nie pomyślałam o jednej dosyć istotnej sprawie, przecież muszę zejść na dół. Ten wyczyn nie obszedł się bez, yyy... , zainteresowanych: „Uwaga, Lidka schodzi!”

Dalsza trasa ciągnęła się przez kilka godzin: prześpiewaliśmy wszystko, począwszy od piosenek z wieczorynek, skończywszy na Bogurodzicy.

Pod Ostrą podzieliłiśmy się na dwie grupy: osoby idące prostą, asfaltową drogą i osoby idące przez szczyt góry. Moje nogi

mówiły nie, przepraszam, one krzyczały! Ale w życiu kieruję się nietypową zasadą dążenia pod prąd, więc nie rozumiejąc samej siebie, poszłam z grupką najbardziej wytrwałych. Gdy byliśmy już w odległości maksimum pięciu kilometrów od noclegu, zapragnęliśmy skrócić sobie drogę, wspaniały pomysł, prawda? Przeskoczyliśmy przez barierki i znaleźliśmy się w gęsto zarośniętym lesie. Okazało się, że nasze „skrót” były minimum o kilometr dłuższe od trasy, którą powinniśmy przejść. Ku zdziwieniu wszystkich i przeszukaniu kampingów, okazało się, że przybyliśmy jako pierwsi.

Tak, właśnie teraz zaczęła się prawdziwa zabawa: tańce (obowiązkowy Belgijski), ognisko, świętowanie moich urodzin i konkursy z wiedzy teoretycznej. Boję się stwierdzić, że ktokolwiek zmużył oczy, ale to zupełnie inna historia, którą pozostawiam waszej wyobraźni.

Dzień następny był równie interesujący, jeśli nie bardziej. Jednakże nie będę wchodzić w szczegóły, ponieważ nie chcę Was zamęczyć tak długim tekstem.

Podsumowując, rajd mogę zaliczyć do bardzo udanego. Liczę na to, że za rok uda mi się dostać na jakąkolwiek trasę. ►

Tekst: Lidia Brózda
- uczennica I LO

Fotografie: Paweł Michalik



► Dopóki mamy czas...

„Wygląda na to, że chwyciliśmy ostatni dzień lata tej jesieni. Zaraz potem przyszła nostalgiczna i wstrętna plucha. My jednak nie poddajemy się. Wystarczy zerknąć na fotografie i już na sercu lżej.” Tak zaczyna się list skierowany do koleżanek i kolegów przez organizatorki zjazdu, absolwentów z 1965 roku klasy V „a” Liceum Pedagogicznego, wychowanków prof. Andrzeja Trystuły.

Pewnie niewielu mieszkańców miasta już dzisiaj wie, że taka szkoła działała w Limanowej przez przeszło 30 lat i była wspaniałą placówką kształcąca pedagogów, nauczycieli i wychowawców nie tylko dla limanowskich i okolicznych szkół, ale wręcz dla całej Polski, a szczególnie terenów Ziemi Odzyskanych.



Absolwenci z 1965 roku klasy V „a” Liceum Pedagogicznego - wychowankowie śp. prof. Andrzeja Trystuły.

Szkoły już nie ma - ludzie pozostali

Pozostali i z radością przyjechali do Limanowej z różnych stron, by u progu jesieni wrócić do wspomnień związanych z młodością.

Spotkanie rozpoczęła msza św. w intencji uczestników spotkania; absolwentów z 1965 roku oraz ich nauczycieli, a także tych, którzy obecni są już tylko we wdzięcznej pamięci swych uczniów. Liturgię, której przewodniczył w Bazylice Matki Boskiej Bolesnej ks. Prałat dr Karol Dziubaczka uświetniła czytaniem i śpiewem psalmu responsoryjnego nasza koleżanka Józefa Urbaniak -Tokarczyk. W skupieniu wsłuchiwalismy się w słowa homilii głoszonej przez celebransa, nawiązującej do treści zawartych w księdze Koheleta. Tę myśl wyrażają słowa: *vanitas vanitatum, et omnia vanitas - marność nad marnościami i wszystko marność*. Przekonanie o tym, że wszystko jest marnością dotyczy zjawisk przyrody, zabiegów człowieka zmierzających do osiągnięcia bogactwa i sławy, używania przyjemności i mądrości.

Jakżeż te słowa były na czasie, jak adekwatne do tego, co czuliśmy. Człowiek poddany jest prawom przemijania i zapomnienia... A my nie chcemy zapomnieć tego co miłe, radosne, co piękne i niosące z pokolenia na pokolenie wartości nieprzemijające. Dlatego w modlitwie wiernych poleciliśmy Bogu śp. katechetów: *ks. Stanisława Mlyczyńskiego, ks. Mroza, ks. Władysława Gibałę* oraz śp. nauczycieli: dyrektora *Antoniego Biedę* i jego żonę *Marię*, wychowawcę klasy *prof. Andrzeja Trystułę*, profesorów - *Stefana Biedę, Józefa Bednarza, Annę Łozińską, Mieczysława Mordarskiego, Marię Ociepkową, Piotra Orzechowskiego, Władysława Wietrznego, Jadwigę Żuławską* i wszystkich, których spotkaliśmy na swej drodze, którzy kształtowali nasze charaktery i osobowości. Dziękowaliśmy Bogu za przeżyte lata i prosiliśmy, by dane nam było się spotkać znów; za rok, może dwa...

Później były serdeczne powitania z koleżankami i kolegami, a nade wszystkim z naszymi profesorami: p. Barbarą Banaś, Stefanią i Józefem Kucharskimi i Władysławem Biernackim. Dziękuję-

my Im za obecność wśród nas, za to że mogliśmy się spotkać, porozmawiać i wspólnie odwiedzić naszych zmarłych profesorów spoczywających na limanowskich cmentarzach. Na ich grobach zapaliliśmy światła pamięci i pozostawiliśmy wrzosey - kwiaty jesieni. Tutaj stały przed oczami dramatyczne chwile gdy nasz wychowawca musiał podjąć decyzję i podpisać zgodę na operację ratującą życie swej uczennicy, bo nie było już czasu na kontakt z rodzicami. Jak cieszył się, że postąpił słusznie, kiedy po kilkudziesięciu latach wspominał to zdarzenie. W tym miejscu jak taśmy filmu w starym kinie przesuwały się wspomnienia: kilometry szlaków przemierzane podczas wędrówek, lekcje matematyki, fizyki, chemii, biologii, historii, geografii, strofy poezji rosyjskiej i życiowej wiedzy - tej na każdy życia dzień. Dlatego nie zdziwiło uczestników tego spaceru do przeszłości zachowanie koleżanki, która zapalając znicz na grobie prof. Stefana Biedy ukochanego „Funia” uklękła na oba kolana mówiąc: „Tu trzeba uklęknąć i pokłonić się nisko przed Jego wielkością”.

W życiu jest czas na zadumę, smutek i łzy, ale także na radość i szczęście. Tak też było podczas wielogodzinnego spotkania już przy obficie zastawionym stole w restauracji „Siwy Brzeg”. Aż wierzyć się nie chciało, że ze szkolnymi murami i naszymi nauczycielami rozstał się 45 lat temu. Nadal umiemy się razem cieszyć, dyskutować i śpiewać. Wspomnieniom nie było końca, każdy pamięta jakieś inne zdarzenie.

Niestety nie mógł być z nami nasz ulubiony i szanowany polonista prof. Karol Podraza, ale wspominaliśmy scenkę z lekcji, gdy profesor, jak zwykle prowadził zażartą dyskusję i zadał pytanie, czekając cierpliwie na odpowiedź. W sali zaległa cisza. Nagle profesor dojrzał nieśmiało uniesioną rękę uczennicy. Zadowolony zachęca:

- Proszę, proszę, no mów.

- Panie profesorze, czy mogę już iść na autobus?

Konsternacja, moment ciszy i Profesor skwitował: - Rzucaj perły przed wieprze.

Nie było Profesora z nami 25 września, ale tyle ciepłych słów zostało wypowiedzianych o Nim tego dnia. Pozdrawiamy kochany Profesorze, dziękujemy za przekazaną wiedzę i za serdeczny uśmiech.

Nie musieliśmy już drzeć ze strachu przed „astronomiczną” wpadką jak przed laty na lekcjach u prof. Józefa Kucharskiego. Obecnie zadziwił nas przez wiele godzin wspaniałą kondycją, pogodą ducha i żartami. A jego żona, Pani Stefania, chodząca łagodność i jasny promyk, jak przed laty w szkolnej bibliotece służąca swym uczniom radą, tak i teraz uśmiechnięta, radosna, z uwagą wsłuchująca się w nasze życiowe historie, ciekawa losów swych uczennic i uczniów.

Myszę, że p. prof. Barbara Banaś też miała satysfakcję, że po 45 latach od matury jej podopieczne na żywo prezentowały hasło „w zdrowym ciele, zdrowy duch” i gotowe były stanąć do nowych wyzwań.

Wdzięczni jesteśmy naszemu przewodnikowi po tajnikach psychologii, pedagogiki, metodyki i innych zakamarkach wiedzy zawodowej, prof. Władysławowi Biernackiemu, że podjął trud przyjazdu do Limanowej i uczestniczenia w naszym spotkaniu. Dziękujemy za żarty, dowcipy i wesołe historyjki opowiadane do późnego wieczora. Tylko dlaczego Pan, Panie Profesorze nie chciał zaśpiewać nam, jak przed laty, jakiejś arii ope-



Profesorowie: (powyżej) Stefania Kucharska i absolwentka Anna Krzysztofiak-Liszka. Poniżej: profesorowie: Józef Kucharski, Barbara Banaś, Władysław Biernacki.

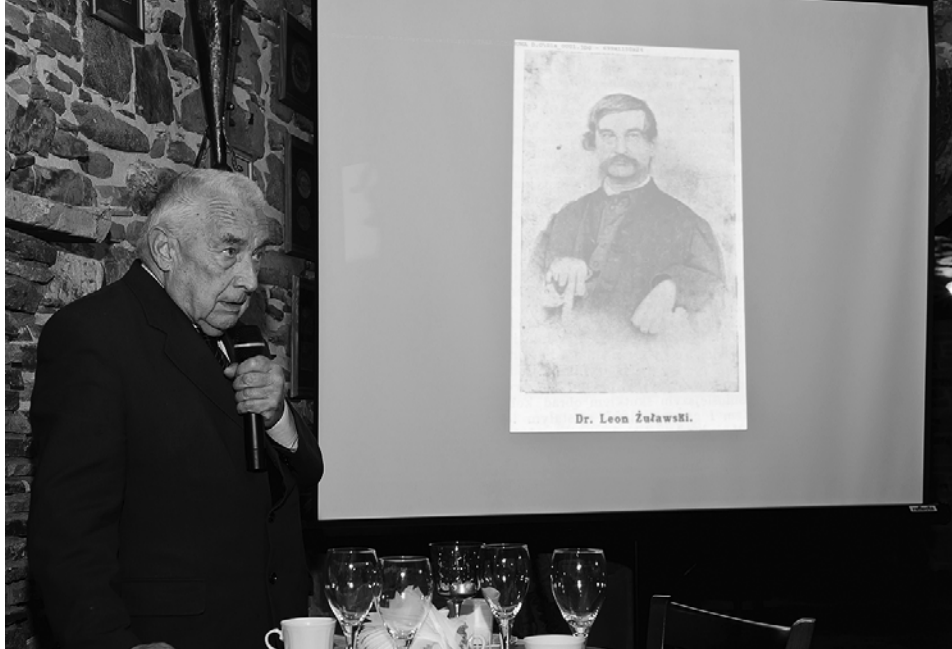


rowej lub melodii z operetki? Wtedy w szkole podziwialiśmy Pana za to.

Jesienny księżyc próbował ukryć swą pełną twarz za wzgórzem Lipowego, kiedy z żalem rozstawaliśmy się i żegnaliśmy naszych profesorów, koleżanki i kolegów. Przy rozstaniu dominowało jedno życzenie: „Oby następne spotkanie było jak najszybciej”.

Obiecujemy spełnić to życzenie. ...Dopóki mamy czas.

Anna Bogacz
Na kanwie pozjazdowych refleksji
koleżanek Alicji Spędzi
i Marii Zaczyńskiej



Prof. dr hab. Stanisław Grodziski - autor wstępu do publikacji, przedstawia wybrane zagadnienia historyczne dotyczące rabacji chłopskiej.



Jacek Żuławski (pośrodku) w rozmowie z Ryszardem Kulmą - redaktorem „Almanachu Ziemi Limanowskiej”.

Historia wierszem spisana

Limanowski epizod rzezi galicyjskiej

Jerzy Bogacz

„Towarzystwo Miłośników Ziemi Limanowskiej oraz wydawca, Jacek Żuławski, zapraszają na promocję pierwszego wydania, napisanego w roku 1846, a odkrytego przed czterema laty poematu Leona Żuławskiego „Oblężenie Limanowy czyli rzeź galicyjska 1846”. W jesienny wieczór 19 października bieżącego roku zaproszenie tej treści zgromadziło w limanowskim „Starym Browarze” wielu miłośników regionu oraz limanowian zainteresowanych przeszłością swojego miasta.

Nie przez przypadek na miejsce promocyjnego spotkania wybrano właśnie lokal mieszczący się w najstarszej części limanowskiego browaru - z całą pewnością budynek ten istniał bowiem w latach związanych z treścią wspomnianego poematu i życiem jego autora.

Leon Żuławski, urodzony 14 kwietnia 1816 roku w Łukowicy, po okresie dzieciństwa spędzonym w dworku ojca Wojciecha Żuławskiego w Szyku uczył się w Gimnazjum i Liceum im. Jana Długosza w Nowym Sączu, a studia medyczne ukończył w Wiedniu. Tam także obronił pracę doktorską, ale nie poświęcił się karierze naukowej, nie osiadł nawet w którymś z dużych miast Galicji. W roku 1843 przybył wraz z żoną do Limanowej, zamieszkał w domu z dużym ogrodem położonym po wschodniej stronie rynku i tutaj,

w niewielkim miasteczku kontynuował rozpoczętą w Wiedniu praktykę lekarską. Tutaj też, w Limanowej, wiosną 1846 roku był świadkiem wydarzeń związanych z rabacją chłopską. Najwyraźniej musiały one wywrzeć na doktorze Leonie Żuławskim wielkie wrażenie, skoro - korzystając ze swych literackich uzdolnień - postanowił opisać wierszem to wszystko, co przeżył i zobaczył.

Poemat Leona Hermenegildusa Żuławskiego opowiada o tym, co działo się w naszym mieście podczas ostatniego tygodnia lutego 1846 roku. Wtedy to do mieszczan limanowskich zaczęły docierać przerażające relacje o krwawych wydarzeniach rabacji chłopskiej: napadach na dwory, rabunkach, pozbawianiu ziemian wolności, a nawet o okrutnych mordach. Początkowo wieści te pochodziły z okolic Tarnowa i Bochni, jednak w Środę Popielcową, 25 lutego 1846 roku odległe dotąd zagrożenie przybliżyło się do Limanowej. Gromady uzbrojonych chłopów pojawiły się w najbliższej okolicy i starały się zdobyć miasto, by pojąć okolicznych ziemian, którzy przybyli tu na czas karnawałowych ostateków, a potem pozostali w Limanowej, chroniąc się przed nadciągającym niebezpieczeństwem. Tylko zdecydowana postawa i solidarność limanowskich mieszczan uratowała życie wielu ludzi i nie dopuściła do splądrowania miasta.

Tak wygląda to w największym uproszczeniu. By poznać wszystkie szczegóły, doświadczyć barwności relacji i spojrzeć oczyma autora na życie ówczesnej Limanowej, trzeba sięgnąć po książkę zawierającą nie tylko tekst utworu, ale także liczne objaśnienia, uzupełnienia i komentarze.

Podczas spotkania w „Starym Browarze” o autorze i okolicznościach odkrycia poematu opowiadał prawnik autora - Jacek Żuławski. Wybrane zagadnienia historyczne dotyczące rabacji chłopskiej w świetle najnowszych badań przedstawił prof. dr hab. Stanisław Grodziski - wybitny znawca czasów galicyjskich, autor wielu prac historyczno-prawnych, który opatrzył omawianą książkę wstępem. Ciekawymi uwagami o wielomiesięcznych pracach nad edycją poematu podzieliła się z czytelnikami Joanna M. Dziewulska, pracownik Biblioteki Naukowej Polskiej Akademii Umiejętności i Polskiej Akademii Nauk w Krakowie - autorka bogatych i wyczerpujących przypisów oraz zamieszczonego w książce artykułu zatytułowanego „Bitwa pod stodołami. Limanowski epizod rzezi galicyjskiej”. Obecni byli także: twórca pięknej szaty graficznej książki - Lech Dziewulski oraz autor opracowania graficznego tablic genealogicznych Michał Dziewulski.



- przewodniczącym Rady Miasta i Jerzym Bogaczem

Jacek Żuławski - wydawca książki - składa autograf, prof. dr hab. Stanisław Grodziski, Joanna M. Dziewulska - pracownik Biblioteki Naukowej PAU i PAN w Krakowie.

Dla wielu limanowian spotkanie promocyjne było pierwszą okazją do zapoznania się z poematem Leona Żuławskiego oraz historycznym znaczeniem tego utworu, chociaż pierwsza publikacja na ten temat ukazała się na łamach „Almanachu Ziemi Limanowskiej” przed trzema laty, w zimie 2007 roku. Był to artykuł Jacka Żuławskiego zatytułowany „Niezwykle odkrycie”, opowiadający o tym, jak to przy okazji przekazywania części archiwum rodzinnego Żuławskich do zbiorów Biblioteki Jagiellońskiej odkryto, że w książce medycznej należącej niegdyś do doktora Leona Żuławskiego, znaleziono wmontowane w nią karty z rękopisem. Po dokładnym ich odczytaniu okazało się, że są one - ujętą w wierszowaną formę - relacją naocznego świadka historycznych

wydarzeń - poematem ukazującym opis przygotowań do walki i obrony Limanowej przed zbuntowanymi tłumami chłopskimi w czasie rabacji galicyjskiej w 1846 roku. Utwór ten, stanowiący cenne źródło historyczne, ukazał się drukiem po 164 latach od jego powstania i w trzy lata po jego odkryciu.

Czytelnicy promowanej książki sprawili wydawcy miłe niespodzianki. Teresa Potoniec, obecnie studiująca w Krakowie, przekazała rodzinie Żuławskich tłok pieczętny z herbem Szeliiga odnaleziony w roku 2004 podczas prac polowych na terenie rodzinnej wsi Jastrzębie. (Było to tematem artykułu autorstwa Agnieszki Pietrzak - obecnie Stefanowicz, który ukazał się w 17 numerze „Almanachu Ziemi Limanowskiej”). Natomiast Jarosław

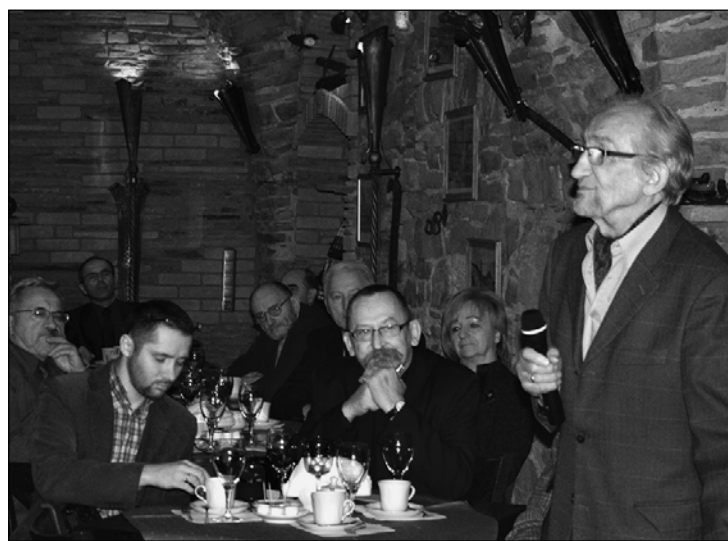
Czaja wręczył kopie dokumentów dotyczących narodzin Leona Żuławskiego uzyskane dzięki pomocy proboszcza parafii w Łukowicy ks. Wiesława Majcy.

Promocja książki Leona Żuławskiego była równocześnie pierwszym spotkaniem przyjaciół „Almanachu Ziemi Limanowskiej”. Zapoczątkowane w ten sposób spotkania mają być okazją do bliższych kontaktów między czytelnikami i autorami testów publikowanych w kwartalniku oraz stanowić swoiste, żywe uzupełnienie drukowanych artykułów, a także stwarzać okazję do popularyzacji historii, tradycji i dorobku kulturowego regionu.

**Fotografie: Michał Dziewulski
Anna Bogacz**



Teresa Potoniec przekazuje Jackowi Żuławskiemu tłok pieczętny z herbem Szeliiga, odnaleziony w czasie prac polowych na terenie wsi Jastrzębie w 2004 r.



Od lewej: Michał Dziewulski - autor opracowania graficznego tablic genealogicznych, Lech Dziewulski - autor projektu okładki i opracowania graficznego książki, Jacek Żuławski.

Wczesne wykrycie daje możliwość wyleczenia nowotworu

Rozmowa z doktorem Leszkiem Pieniżkiem – ordynatorem Oddziału Ginekologii i Położnictwa Szpitala Powiatowego w Limanowej, organizatorem XV Konferencji Naukowo-Szkoleniowej „Postępy w ginekologii onkologicznej”.

- Jak to się stało, że konferencja odbyła się w Limanowej?

- Powód jest prozaiczny. Zgodnie z założeniem profesora Kojasa konferencja co roku organizowana jest w innym miejscu Małopolski. Limanowa do tej pory nie organizowała konferencji, podobnie jak planowane na przyszły rok Myślenice. Powierzenie nam organizacji takiej konferencji to mimo wszystko rodzaj uznania dla nas, ponieważ wymaga to sporego wysiłku.

- Pojawiło się 34 profesorów i ponad 200 lekarzy z całego kraju...

- Prawie wszyscy, którzy w polskiej ginekologii, zwłaszcza w ginekologii onkologicznej się liczą, na czele z prof. Jerzym Stelmachowem konsultantem krajowym i konsultantami wojewódzkimi w tej dziedzinie. Swoją obecnością zaszczytili nas też prezes Polskiego Towarzystwa Ginekologicznego prof. Ryszard Poręba i konsultant wojewódzki dla Małopolski prof. Antoni Basta. Limanowa jeszcze nie widziała takiego kręgu profesorskiego i pewnie nieprędko zobaczy.

- Patronem naukowym konferencji był profesor Zbigniew Kojas?

- Profesor Zbigniew Kojas pracuje w Centrum Onkologii w Krakowie i jest konsultantem wojewódzkim w dziedzinie ginekologii onkologicznej dla Małopolski. Od wielu lat ściśle współpracujemy z Profesorem i jest to dla nas nieocenione wsparcie. Zawsze możemy liczyć na życzliwość i szybką pomoc Profesora. Korzystając z okazji, pragnę mu za to podziękować w imieniu lekarzy i pacjentek naszego oddziału.

- Jak organizacyjnie udało się sprostać całemu zadaniu?



Powyżej: Konferencja Naukowo-Szkoleniowa odbyła się w sali widowiskowej LDK.

Obok: Ordynator Oddziału Ginekologii i Położnictwa Szpitala Powiatowego w Limanowej dr Leszek Pieniżek.



- Według opinii uczestników organizacja przebiegała sprawnie i bez większych potknięć. Jest to zasługa całego zespołu: lekarzy, położnych, dyrekcji szpitala, działu promocji szpitala, a także biura turystycznego „Limatur” Andrzeja Piławskiego, restauracji „Siwy Brzeg” Sławomira Kalisza, administracji Limanowskiego Domu Kultury na czele z p. dyrektorem Stanisławą Obrzut, operatorów wizji i dźwięku Jerzego Dudka i Artura Ćwika oraz obsługi hoteli „Siwy Brzeg” i „Jaworz”. Nie jestem w stanie wymienić wszystkich, ale wszystkim jeszcze raz bardzo dziękuję. Słowa wdzięczności kieruję do starostów Jana Puchały i Franciszka Dziedziny, burmistrza Marka Czeczotki i przewodniczącego Rady Miasta Ryszarda Kulmy, którzy wsparli naszą konferencję i zaszczytili ją swoją obecnością. Pragnę podkreślić, że w każdym miejscu spotykałem się z życzliwością i pomocą, co było dla mnie dużym zaskoczeniem i satysfakcją.

- A organizacja konferencji w sensie zapewnienia odpowiednich warunków gościom?

- Zacytuję słowa piosenki harcerskiej: „warunki tylko warunkami”. Im było trudniej, tym później była większa satysfakcja. VIP-ów udało się zmieścić w dwóch limanowskich hotelach, reszta była zakwaterowana w Hotelu Folwark Stara Winiarnia w Mszanie Dolnej, w hotelach „Beskid” i „Panorama” w Nowym Sączu oraz w kwaterach agroturystycznych powiatu limanowskiego. Nasi goście wykazali się dużą wyrozumiałością i potraktowali te trudności jako dodatkową atrakcję.

- Konferencja była poświęcona postępom w onkologii ginekologicznej i podzielona była na cztery sesje naukowe?



Dyskusję i wymianę poglądów prowadzono również w przerwach konferencji.

- Specyfiką tej konferencji jest to, że nie powtarza się tu rzeczy, które wszyscy znają. Najciekawsze są tematy i doniesienia, których często nie można jeszcze przenieść na codzienną praktykę, ale informują o najnowszych trendach w ginekologii onkologicznej. Nie sposób wymienić wszystkich doniesień, ale warto wspomnieć kilka. Jak zawsze dużym wydarzeniem był wykład prof. Jana Lubińskiego, światowego autorytetu w dziedzinie genetyki nowotworów. Profesor Beata Spiewankiewicz mówiła o zastosowaniu hipertermii w leczeniu nowotworów jajnika i trzonu macicy. Są to metody na etapie badań klinicznych, ale z bardzo obiecującymi wynikami. Profesor Wiesława Bednarek przedstawiła temat angiogenezy i limfangiogenezy, z którymi wiążemy duże nadzieje na przyszłość. Prof. Marek Sikorski mówił o wirusach w etiologii nowotworów. Przy okazji warto wspomnieć o kulisach podróży niektórych Profesorów. Profesor Lubiński, który pracuje w Szczecinie przyjechał do Krakowa dzień przed konferencją wieczorem, do Limanowej przyjechał na 15 minut przed konferencją, wygłosił wykład i udał się w powrotną drogę do Szczecina. Profesor Marek Spaczyński z Poznania, przyjechał do Krakowa pociągiem z Białegostoku i do Limanowej przyjechał około godziny 23. Ostatni tuż przed północą dotarł profesor Jan Suzin z Łodzi. To chyba najlepiej świadczy o zaangażowaniu profesorów i randze konferencji.

- Jakie korzyści przyniosła konferencja tu na miejscu?

- Oprócz oczywistej korzyści naukowej są też inne korzyści pozanaukowe. Konferencja była ogromną promocją Limanowej i powiatu limanowskiego. Większość uczestników konferencji, podobnie jak przemawiający podczas ceremonii otwarcia profesor Jerzy Stelmachów, była w Limanowej po raz pierwszy, ale nie ostatni. Dzięki dobrej pogodzie, a także dzięki otrzymanym od Starostwa materiałem reklamowym oraz projekcji filmu o Limanowej Jerzego Dudka mogliśmy pokazać naszym gościom naprawdę dużo atrakcji limanowskiej ziemi.

- Konferencja była poświęcona ginekologii onkologicznej. Do tej pory pokutuje przekonanie, że „rak to wyrok”. Czy słusznie?

- Zdecydowanie zaprzeczam. Tak do zachorowania na nowotwór absolutnie nie można podchodzić. Postęp w diagnostyce i leczeniu nowotworów w przeciągu ostatnich lat jest naprawdę olbrzymi. To daje szansę na wyleczenie. Oczywiście duże znaczenie ma szybkie wykrycie. Nowotwór wcześniej wykryty jest wyleczalny. Niestety pokutują różne głęboko zakorzenione przesady powodujące opóźnienia w rozpoznaniu choroby.

- We wczesnym wykryciu nowotworu podstawą są systematyczne badania kontrolne?

- Tak, zwłaszcza, że są nowotwory, które można bardzo prosto wykryć. Cho-

ciażby przez cytologię - raka szyjki macicy, czy poprzez samobadanie i mammografię - raka piersi. Zaniedbania niestety dotyczą właśnie tych nieskomplikowanych badań, które są często lekceważone. Oczywiście dla ścisłości trzeba powiedzieć, że są też takie nowotwory, które pomimo częstych i skrupulatnych badań wykrywamy w stanie już bardzo zaawansowanym. To specyfika tych nowotworów i tu na razie jesteśmy bezradni. Takim nowotworem jest rak jajnika, który był jednym z głównych tematów naszej konferencji. Na pocieszenie dodam od razu, że nawet w przypadkach zaawansowanych jest możliwość skutecznej terapii. Udać się nam nie tylko przedłużyć czas i komfort życia chorych, ale czasami także doprowadzić do wyleczenia.

- To, co pan doktor mówi, brzmi dość optymistycznie.

- Sytuacja w przypadku raka szyjki macicy zależy tylko od nas - w przypadku wczesnego wykrycia skuteczność leczenia jest niemal stuprocentowa. Podobnie jest w przypadku raka kosmówki - kiedyś śmiertelnego, dziś całkowicie wyleczalnego. Takich przykładów postępu można by podać wiele. Dzięki stałemu rozwojowi leczenia operacyjnego, radioterapii i chemioterapii możliwości leczenia są naprawdę ogromne. Problemem jest przesąd, bardzo niekorzystny, że „nie należy jakiegś zmiany ruszać, bo jak się ruszy to później będzie rozsiew”. Taki sposób myślenia wynika z tego, że pacjenci przez lata „hodowali” różne nowotwory i dopiero w stanie zaawansowanym zgłaszali się do lekarza. Efektem tego były mało skuteczne w takich wypadkach próby leczenia i przekonanie, że „ktoś przez 10 lat miał guza i nic się nie działo, a jak poruszali to się rozsiało”. Gdybyśmy sobie z tym przesądem poradzili, to na pewno byłoby dużo mniej tragedii. Wczesne postacie raka byłyby usuwane i całkowicie wyleczone.

- A jak Pan ocenia świadomość konieczności systematycznych badań profilaktycznych?

- Świadomość jest coraz większa, ale równocześnie ludzie żyją w coraz większym biegu. W codziennym pędzie gubią się, zapominają o sprawach najważniejszych. Brakuje czasu na to, co istotne.

**Rozmawiała: Jolanta Bugajska
Fotografie: Jerzy Dziedzic**

Malinowa Limanowa

Jolanta Szyler

Najmłodszy mieszkańcy naszego miasta doczekali się swojej publikacji. Urząd Miasta - Wydział Promocji wydał nakładem Miejskiej Biblioteki Publicznej zbiór wierszy dla dzieci pt: „Malinowa Limanowa”.

Malina zawsze kojarzy się ze słodkim smakiem, latem i wakacjami. Tak chcemy, by naszym milusińskim kojarzyło się miasto Limanowa – słodko i malinowo. Ponadto chcemy uczyć młode pokolenie umiłowania małej ojczyzny. Dlatego podjęliśmy się wydania zbioru wierszy dla dzieci.

Już w starożytnej Grecji uważano, że przez lekturę tekstów poetyckich wychowankowie mogą stawać się lepszymi i zdobywać wiedzę o życiu. „Powiedzieć wierszem” to znaczy powiedzieć „do rymu”, a znów powiedzieć „do rymu”, to powiedzieć „do słuchu”, jak słusznie zauważa Jerzy Cieślowski. Miejmy nadzieję, że wiersze wpłyną na rozwój mowy ustnej i pisanej u limanowskich dzieci. Bo dzięki prozie dzieci uczą się mówić poprawnie, dzięki poezji – pięknie. A ponieważ wiersz to utwór, nad którym trzeba się zastanowić, niech zawarte w wierszach przesłanki rozmiłują dzieci w pięknie i bogactwie limanowskiej ziemi.

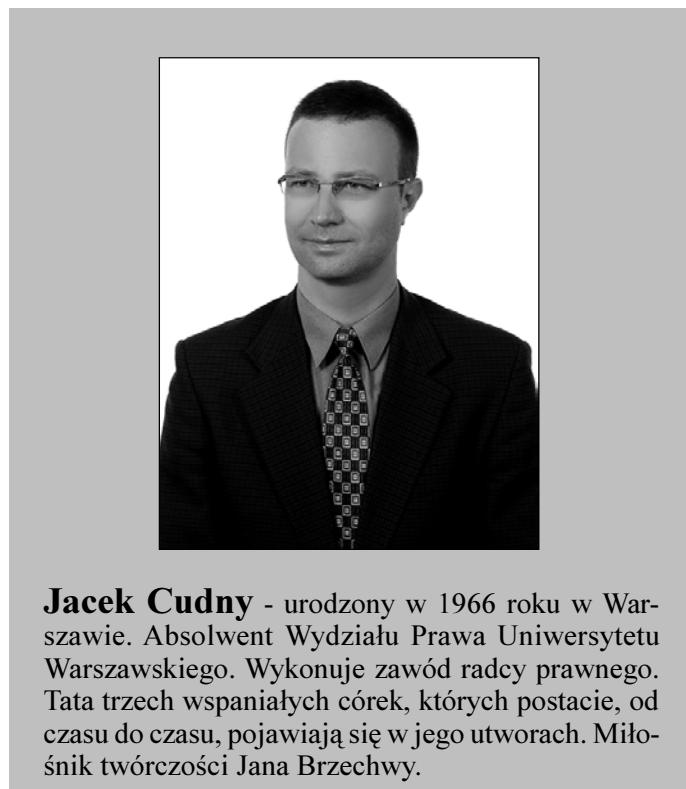
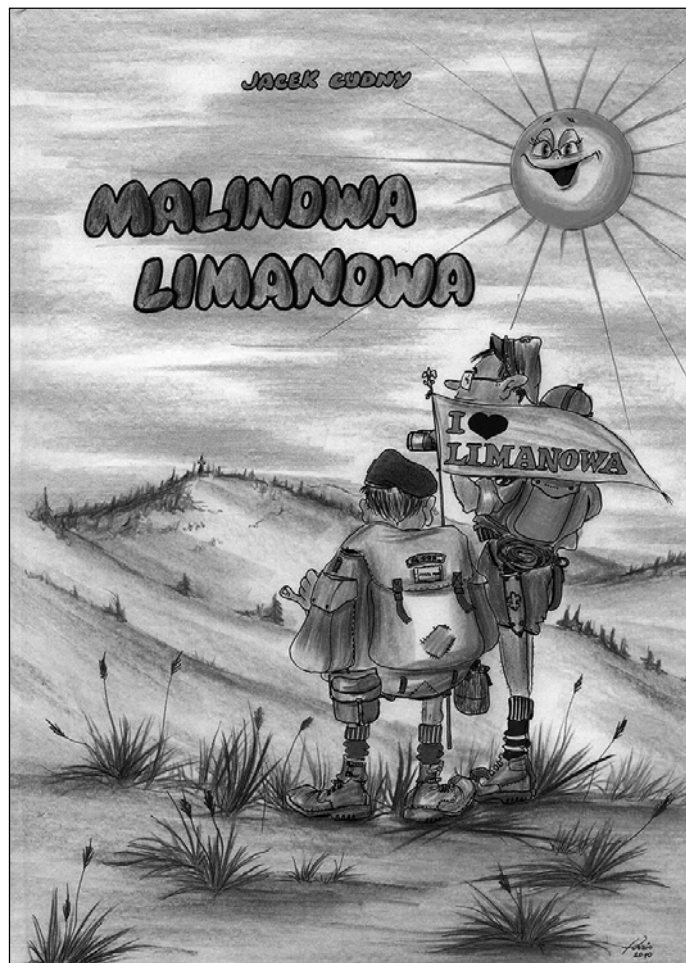
Książeczka „Malinowa Limanowa” zawiera 11 wierszy autorstwa Jacka Cudnego, wzbogaconych barwnymi ilustracjami Jacka Puzio. Wiersze opowiadają o regionie, bogatej tradycji, pięknie naszego miasta i uroku limanowskiej ziemi. Przemawiają do dziecka wprost, serdecznie i z życzliwością. Przyjmują postawę towarzysza zabaw, a ich stałym elementem jest humor słowny i sytuacyjny. Czytelnik znaleźć może wiele zabawnych historii związanych z miastem, ale również kilka ciekawych zagadek, nad rozwiązaniem których trzeba się zastanowić. Książeczkę w cenie 17 zł. nabyć można w Miejskiej Bibliotece Publicznej oraz limanowskich księgarniach.

W oparciu o nową publikację wśród uczniów nauczania zintegrowanego limanowskich szkół podstawowych zostały ogłoszone konkursy: recytatorski, literacki i rysunkowy pt: „Limanowa-miasto, w którym mieszkają nasze marzenia”. Organizatorami konkursów jest Zespół Szkół Samorządowych nr 3 oraz Wydział Promocji Urzędu Miasta. W jury międzyszkolnego finału konkursu, jaki przymierzono na 6 grudnia br., zasiądą sami autorzy : Jacek Cudny i Jacek Puzio.

Wywiad z Jackiem Cudnym

Z wykształcenia i zawodu jest Pan prawnikiem. Skąd pomysł na pisanie wierszy właśnie dla najmłodszego odbiorcy - dziecka ?

Pomysł na pisanie wierszy dla dzieci wziął się z potrzeby serca. Być może brzmi to górnolotnie, ale faktycznie taki był początek mojej przygody z wierszami. W pewnym momencie mojego życia, a dokładnie blisko rok temu, doszedłem do wniosku, że przyszła pora na zmiany. Postanowiłem poświęcić część mojego czasu (jak się potem okazało całkiem pokaźną) na zrobienie czegoś dla innych, a dokładniej dla dzieci. Trochę czasu upłynęło zanim wpadłem na pomysł, co takiego mógłbym zaoferować dzieciakom. Kiedyś, przy okazji jednej z imprez ro-



Jacek Cudny - urodzony w 1966 roku w Warszawie. Absolwent Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Wykonuje zawód radcy prawnego. Tata trzech wspaniałych córek, których postacie, od czasu do czasu, pojawiają się w jego utworach. Miłośnik twórczości Jana Brzechwy.

dzinnych, napisałem rymowaną historyjkę, która spotkała się z uznaniem słuchaczy. Pomyślałem wówczas o napisaniu właśnie takich rymowanych, śmiesznych historii, które wywołają uśmiech na buziach dzieci. I tak się zaczęło. Wkrótce namówiłem do współpracy bardzo zdolnego grafika - Pana Jacka Puzio, który swoimi rysunkami okrasza tworzone przeze mnie teksty. W ten sposób powstała nasza pierwsza książka, zatytułowana „Wiersze za jeden uśmiech”.

Mieszka Pan we Włocławku. Skąd pomysł na napisanie książki właśnie o Limanowej ?

Już kiedy pisałem „Wiersze za jeden uśmiech” wiedziałem, że będę chciał napisać kiedyś książkę poświęconą wyłącznie Limanowej. Dlaczego ? Bo okolice Limanowej to moje ukochane góry. Zachwycają mnie nie tylko krajobrazy, ale również życzliwi mieszkańcy. Tak prawdę mówiąc, to mój drugi dom. I dlatego kiedy powstawały „Wiersze za jeden uśmiech”, wśród tych wierszy znalazły się trzy historie związane z Limanową. Pomyślałem sobie, że będzie to początek książki o Limanowej. Tak też się stało. Mój pomysł na napisanie „Malinowej Limanowej” spotkał się tutaj z bardzo (!!!) życzliwym przyjęciem. W ciągu tygodnia napisałem teksty pozostałych ośmiu wierszy, a w ciągu miesiąca książka była już wydrukowana. To pierwsza pozycja z serii „Moja Wielka Mała Ojczyzna”. Chciałbym, aby „Malinowa Limanowa” oraz kolejne książki z tej serii, pokazywały najmłodszym mieszkańcom danych regionów uroki ich rodzinnych okolic. Wierzę, iż książki te umocnią, a czasami zaszczepią w dzieciach dumę z ich małych, ale wielkich ojczyzn.

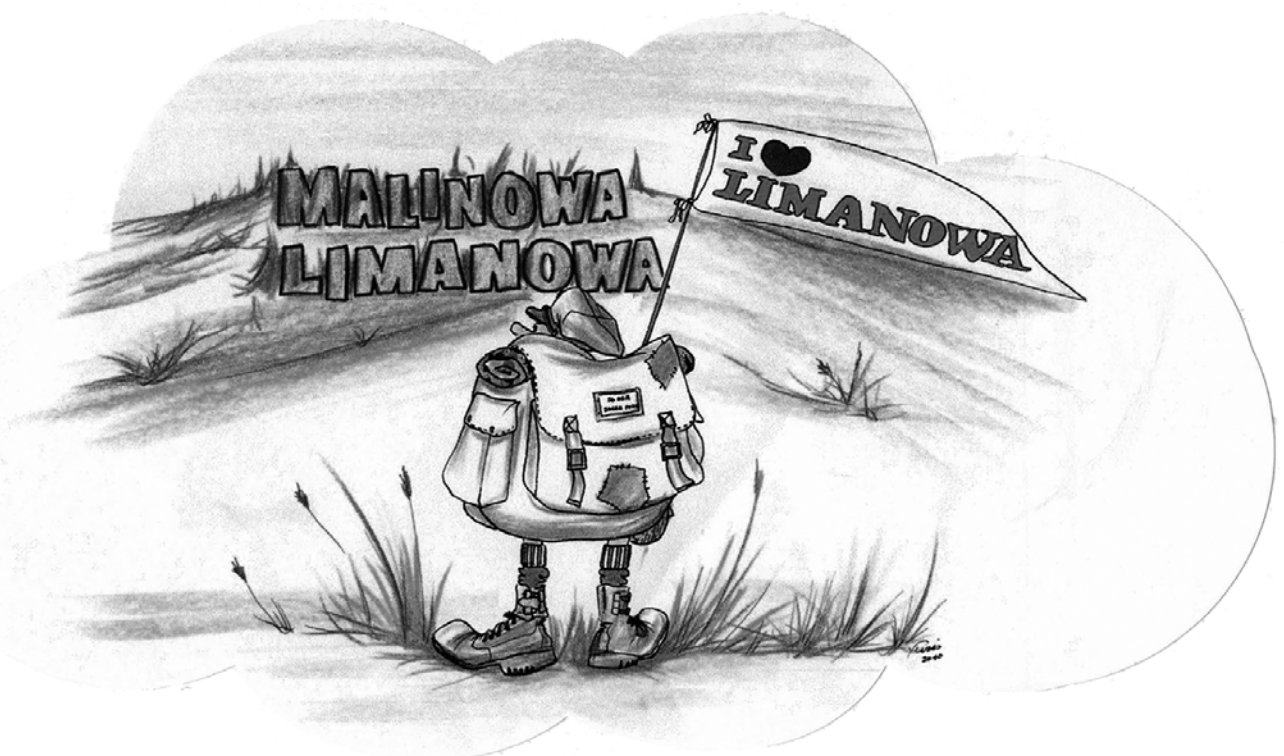
Czy ma Pan jakieś nowe pomysły, by podbijać serca i rozwijać wyobraźnię dzieci?

Jestem optymistą. Najważniejszy dla mnie jest uśmiech dziecka, czytającego moją książkę. A że tych uśmiechów jest coraz więcej, to i ja mam coraz więcej energii do tworzenia

kolejnych rymowanych historii. W chwili obecnej są już gotowe teksty do dwóch kolejnych książek zatytułowanych „Ładne kwiatki!” i „Zwierzaki”. W dużej części gotowe są też ilustracje do tych książek. Dwie kolejne książki, które powstaną wkrótce to „Witaminki” i „Niezłe ziółka !”. Moim marzeniem jest, aby napisać książkę, której głównymi bohaterami będą słowa. Książka ta nosi na razie roboczy tytuł „Kraina szczęśliwych słów”. Chciałbym w niej nauczyć dzieci szacunku do słów i umiejętności precyzyjnego posługiwania się nimi. Niezależnie od tych planów, realizuję równoległe inny pomysł, a mianowicie stworzenie strony internetowej, która zachęci dzieci do czytania, a w dalszej perspektywie, do pisania wierszy. Lada chwila zostanie uruchomiona strona internetowa www.wierszykizfabryki.pl. Strona ta, bardzo kolorowa, z licznymi animacjami, będzie zachęcała dzieci do zabawy z tekstami moich wierszy. Na razie będą to teksty z czterech książek: „Wierszy za jeden uśmiech”, „Malinowej Limanowej”, „Ładnych kwiatków!” i „Zwierzaków”. Gwarantuję niezłą zabawę. Muszę wspomnieć o jeszcze jednym projekcie. Mianowicie wspólnie z Fundacją „Dr Clown” planuję zorganizować w okresie świątecznym ogólnopolską akcję pod nazwą „Książki za jeden uśmiech”. Podczas tej akcji wolontariusze Fundacji będą organizowali na terenie szpitali dziecięcych oraz placówek specjalnych spotkania z małymi pacjentami i czytali „Wiersze za jeden uśmiech”. Każde dziecko, właśnie za jeden uśmiech, otrzyma książkę w prezencie. Jak widać sporo się dzieje wokół moich wierszy. Obiecuję, że dopóki będą one wywoływały uśmiech na buziach dzieci, nie zabraknie mi pomysłów na kolejne książki.

Dziękuję za rozmowę , a w imieniu limanowskich dzieci dziękuję za wspaniały zbiór wierszy ujmujący radosne i pogodne dzieciństwo, głęboko osadzone w pięknie bliskiej sercu malej ojczyźnie Limanowej.

**Rozmawiała: Jolanta Szylar
Rysunki: Jacek Puzio**



Co widać z nieba w Męcynie?

Aniołowie, wysłańcy Boga, widzą wszystkim. Opatrzność Boża dała nam aniołów stróżów. Święto Aniołów Stróżów obchodzimy 2 października. Co zatem widzą aniołowie w Męcynie?

Widzą piękny, nowy kościół i stary – św. Antoniego Pustelnika, który już nie jest używany codziennie, jak niegdyś, przez co mocno się starzeje. Dawniej od setek lat otoczony lipami i dębami był chroniony od wiatru, promieni słonecznych, a nawet powodzi. Ponieważ Smolnik płynie jak niegdyś płynął, raz spokojnie, raz burzliwie, powodzie co jakiś czas niszczyły poblizsze koryta tego potoku – rzeki. Po powodzi w 1934r. został uregulowany i pięknym korytem przepływał przez Męcinę. Był napelniony czystą, przejrzystą wodą, w której z „nieba” było widać ryby: pstragi, brzany. Dziś brzegi zniszczone przez powódź 1997r., zarosłe krzakami i chwastami, niosą w swych wodach puszkę po piwie, worki plastikowe, szmaty i nie jest to już czysta, przejrzysta woda tylko chemiczna gnojówka po detergentach, płynach i szambach, trująca wszystko co żyje. Nie ma ryb, nie ma robaczek, nie ma raczków.

W centrum Męciny oprócz kościołów: starego i nowego widać piękną, nową plebanie – nie ma już starej, przycupniętej przy drodze do kościoła. Nie ma już zabudowań plebańskich: stodoł, spichlerza, stajni oraz urokliwego stawu w głębi. Za to są garaże na „konie mechaniczne”, a w głębi za nimi znajduje się dom zakonny ss. Felicjanek.

Przy nowym kościele jest jeszcze zabytek – Dom Parafialny z lipami, które starzeją się wraz z tym „zabytkiem”. Cmentarz – miejsce oczekiwania na zmartwychwstanie w Dniu Ostatecznym zmarłych męcynian, stał się drugim po kościele estetycznym i pięknym z nieba widokiem. Męcina „zarejestrowana” w niebie była, jest i będzie piękna, bo tutejsi ludzie byli wierzący, prości, serdeczni i pracowici.

Kapliczki, krzyże przydrożne też są widoczne z góry. Nie widać zaś na „sztrecie” jadącej „personki” tylko od czasu do czasu przejedzie „towarówka”. Brak konnych pojazdów. Są zatem samochody, które nieprzerwanie od rana do nocy pędzą po asfaltowej drodze ze wschodu



Powyżej: Męcuna z lotu ptaka.
Obok: O. Dominik Orczykowski.

na zachód i z zachodu na wschód. W wielu obejściach koło domów, byłych stodoł czy stajni stoją samochody, nawet po trzy przy jednym domu. Nie widać krów pasących się, a konia nie usłyszy. Może gdzieś jest jakaś kura czy kogut, królików też już nie ma, ale za to widać z nieba „fabrykę jaj”, która usadowiła się niedaleko zamczyska. Dawniej był „Ugór” Józefa Smolenia, a teraz co kawałek ugory: na Podlesiu, na Zakrętku, na Szczepieńcu, na Krasnym, na Zadzielu, pod Kaniną. Nie sposób wyliczyć. Dawniej pięknie kwitły koniczyny, len, pięknie wyglądały stajania owsa, żyta, pszenicy, orkisz. Za to nowych domów, pięknych i nowoczesnych, jak grzybów po deszczu, co jeden to piękniejszy. Aniołowie stróżowie nie chcą zdradzić jak wyglądają wnętrza tych domów. „Biały Dwór”, „Kółko” i ta stodoła przy Centrum oraz willa Raczyńskich wstydzą się przebywać w towarzystwie nowych budowli. Piękna remiza i szkoła mówią o rozwoju kulturalnym i społecznym męcynian.

Droga „Białodworska”, to niczym „Marszałkowska w Warszawie”. Wzrok aniołów dostrzega jeszcze coś innego w Męcynie, a mianowicie śmieci, śmieci i jeszcze raz śmieci. Mimo pojemników na śmieci zaśmiecone są przystanki, mimo ostrzeżeń – zaśmiecone potoki, mimo przyczepy na odpady – zaśmiecony cmentarz. I dochodzą aniołowie do wniosku, że



ludzie mają zaśmiecone sumienia. Radość zaś ogarnia aniołów, gdy widzą wokół domów piękne kwiaty wszelkiego rodzaju, bo kto kocha kwiaty i sadi je, ten ma czyste sumienie i piękną duszę.

W oglądaniu Męciny z nieba brał udział Mnich Latający o. Dominik Orczykowski OFMCap lecący na Jaku 12 z pilotem Józefem Wójtowiczem, na Zlinie z pilotem Andrzejem Saratą, na RWD 5 z pilotem Jerzym Kołodziejem i na Gemini II S z pilotem Ryszardem Jaworzem-Dutką.

Fotografie: Zbigniew Sułkowski

Felieton napisany do „Skibowego Kamienia” jeszcze przed Tragedią Kłodnego wiosną 2010 roku, a także zburzonego „domu parafialnego” oraz wiadomości, że to samo czeka zabytkowy „biały dwór”. Oba zabytki historyczne związane z miłością do ziemi przodków piszącego ten felieton. O. D. M. O.

Dnia 2. 10. 2010 r. w święto Aniołów Stróżów, szkoła szybocowa w Bezmiechowej i w tym samym dniu Weremień, lądowisko aeroklubu bieszczadzkiego.

Żeby kamień zaczął gadać

Zbigniew Sułkowski

W Europie nowożytniej drogi jezdne, ulepszające naturalnie wydeptane trakty, na szerszą skalę zaczęto budować dopiero od początku XIX wieku. Ich nawierzchnię stanowił skalny tłuczeń różnego gatunku, najczęściej z piaskowca lub wapienia ze względu na mniejszą odporność na kruszenie. Produkcja owego kruszywa uważana była powszechnie za zajęcie ciężkie i podłe (Kamienie na drogę tłuc będziecie! – straszono w szkole nieuków) i do lat pięćdziesiątych XX wieku zatrudniali się tym niemal wyłącznie Cyganie. Potem młotki zastąpiły maszyny, a Cyganów lud Romów, którym duma osobista nie pozwalała mieć się tak nisko kwalifikowanych zajęć.

Ale czy rozbijanie kamieni to tylko kwestia tępej siły?

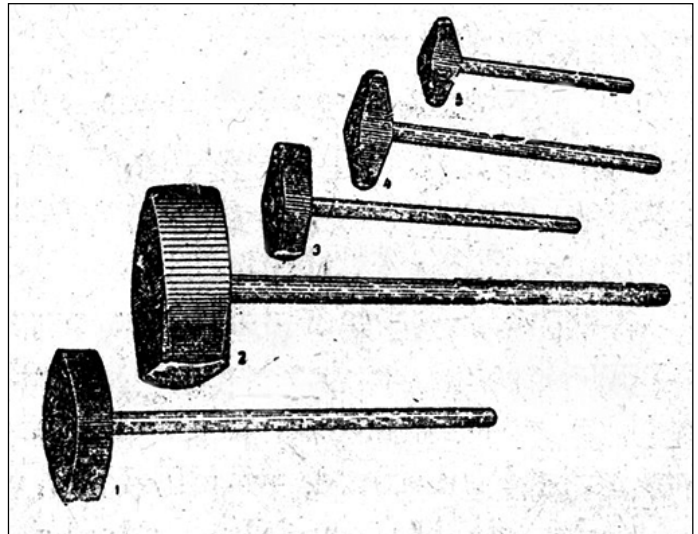
Jako jeszcze całkiem smarkaty miałem okazję oglądać taką robotę na wprost okna mieszkania przy ówczesnej ulicy Szpitalnej. Kamieniarz miał wszystkiego kilka młotków, wcale nie tak dużych, za to o różnych kształtach. Jednym albo czasem po kolei kilkoma rozdrabniał spore bryły zwiezionych z kamieniołomu twardych piaskowców do wymaganego rozmiaru. Praca szła sprawnie, ale od czasu do czasu kamień stawiał opór. Gdy byliśmy już bardziej spoufaleri, mogliśmy z bliska obserwować, a nawet słuchać objaśnień – otóż oporny kamień należało ostukiwać dookoła, aż „zaczynał gadać” i dalej już sprawa była prosta. Oczywiście nie dla nas, gdy pożyczonym od mistrza lub przyniesionym z domu młotkiem własnym próbowaliśmy zmuszać głaz do „gadania”. Kończyło się zwykle na tym, że waliliśmy z coraz większą siłą, aż nie wytrzymał albo kamień, albo młotek. A nasz śniadolicy majster szybkimi i bez dużego zamachu uderzeniami, jakby bez wysiłku rozmiękał skalną bryłę na drobne.

Gdzieś później czytałem, że pięć lat to minimum praktyki do opanowania w stopniu podstawowym kamieniarskiego fachu, który wysoko cenił najslawniejszy chyba z polskich kamieniarzy – Jan Himilbach, również aktor samouk i literat. I bezwzględna wyższość swej spuścizny w granicę nad tą na papierze określił obrazowo i dosadnie.

Drogi tłuczniowe dobrze służyły trakcji konnej. Jezdnia ubijana kopytami i obręczami kół utwardzała się dodatkowo, a ścierany żelazem pył kamienny umacniał jej spoiwo. Sytuacja pogorszyła się, gdy w wieku XX pojawiły się samochody. Pneumatyki ogumionych kół „obluzowywały” ubitą nawierzchnię, tym bardziej, że porywały za sobą ów pył spoiwa. Kto pamięta czasy dróg tłuczniowych, przywoła łatwo w pamięci obraz długiego i gęstego ogona uciążliwego kurzu, jaki w suche dni każdy samochód ciągnął za sobą. Postęp motoryzacji przyspieszył w związku z tym budowę dróg asfaltowych. Tymczasem w większości krajów europejskich trakcja konna ustępowała powoli i ostro kute podkowy asfaltowaną nawierzchnię niszczyły. Uznano wtedy, że rozwiązaniem optymalnym dla „trakcji obojga” będą drogi brukowane.

Znane od starożytności brukowanie upowszechniło się w średniowiecznej Europie w miastach – oczywiście, tych znaczniejszych czy to w postaci „kocich łbów” – średniej wielkości okrągłych granitowych otoczaków, w Polsce dostępnych na terenach polodowcowych moren i w korycie Dunajca, czy w postaci obrobionej regularnie kamiennej kostki.

(ciąg dalszy na stronie 39)



Młoty i młotki do tłuczenia kamienia: 1 - płytownik, 2 - rozłupniak, 3, 4, 5 - młotki babkowe.

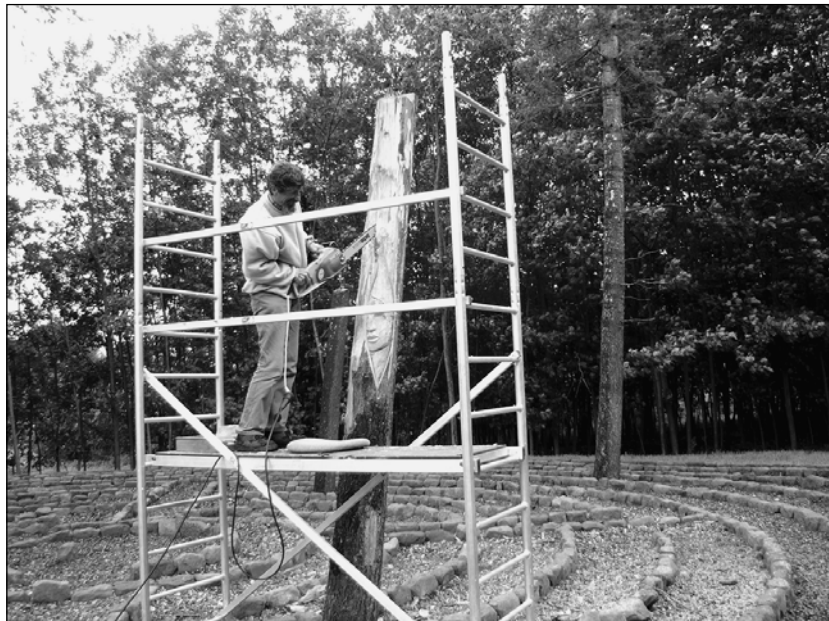


Zakład kamieniarski Władysława Wondry przy ul. Marii Konopnickiej (dziś w tym miejscu znajduje się Osiedle Centrum).



Wzdłuż nasypu przy stacji kolejowej przygotowano kostkę granitową do wykonania bruku w czasie II wojny światowej.

Limanowski artysta podbija Europę



Limanowska sztuka wychodzi na zewnątrz i trafia na zachód Europy. A konkretniej – do Niemiec. Rzeźby Aleksandra Majerskiego ostatnio wystawiane były m.in. w Ambergu i Landau, a w listopadzie trafiają do Ravensbruck. Najciekawsza ekspozycja stanęła jednak w Enkenbach-Alsenborn.

Aleksander Majerski znany w Limanowej rzeźbiarz – samouk, którego pracownia mieści się w Muzeum Regionalnym Ziemi Limanowskiej, w ostatnich miesiącach podbijał świat. Oczywiście świat podbijał już wcześniej, bo w swoim dorobku artystycznym ma wystawy choćby w Mannheim, Heidelbergu, Reipoltskirchen czy w Wathlingen – o jednej z nich informowaliśmy w „Echu”. Ostatnie miesiące przynoszą jednak owoce w postaci kolejnych wernisaży. Niedługo Aleksander Majerski większą część roku będzie spędzał nie w Limanowej, czy na Podhalu, gdzie często tworzy w ciszy przyrody, ale gdzieś w Niemczech.

Październik to wspólna z Zygmuntem Kłosowskim wystawa w Ambeg w Bawarii. Przy okazji warto wspomnieć jak do niej doszło, bo ta historia także jest dowodem na wyciąganie macek sztuki Majerskiego w kierunku Polski i świata. Na jednym z portali społecznościowych limanowski rzeźbiarz i grafik nawiązał ciekawe kontakty z twórcami z całej Polski. Efektem było stworzenie grupy „Złota linia”, do której należą cenieni malarze, rzeźbiarze, ceramicy... Ich pierwsze spotkanie w realu było równocześnie pierwszą

wspólną wystawą, a miało miejsce w 2009 r. w Folwarku Stara Winiarnia w Mszynie Dolnej. Wystawa później przeniesiona została do muzeum w Limanowej. Potem „Złota linia” zorganizowała wystawy w Jarosławiu, w Tarnowskich Górach i w Stargardzie Szczecińskim. Grupa ma charakter międzynarodowy – znaleźć tu można i przedstawicieli Niemiec i Norwegii. Oczywiście to także wpływa na dalsze kontakty. Dzięki pierwszej wystawie Majerski poznał właściciela mszańskiego Folwarku. To na jego propozycję w październiku wyjechał do Niemiec na czterodniowy plener do Amberg. Październik to także wystawa rzeźb w Landau. A już wkrótce, na przełomie listopada i grudnia, wyjeżdża na trzy tygodnie do Ravensbrucku. Te wernisaże oczywiście mają niebanalne znaczenie. Wiele z przedstawianych rzeźb zostaje w Niemczech. Pojawiają się też bardzo przychylnie komentarze, notatki w niemieckiej prasie i... kolejne zaproszenia. Wystawy mają jednak charakter tylko czasowy. Tymczasem Majerski zostawił niedawno w Niemczech ślad, który ma szansę trwać przez następne pokolenia. Są to niezwykle rzeźby zdobiące mistyczną kompozycję – labirynt w niemieckim Enkenbach-Alsenborn. Niezwykle choćby dlatego, że rzeźbione w uschniętych drzewach, które... nadal mają korzenie. Ale po kolei.

Wszystko zaczęło się przed rokiem dziwnym zbiegiem przypadków.

– Na początku maja, gdy w pracowni rzeźbiłem św. Józefa do przyszpitalnej kaplicy, dostałem niespodziewany telefon z Niemiec. Zadzwoił ksiądz polskiego pochodzenia, pytając, czy nie zechciałbym zrobić u nich wystawy z okazji 40 lecia istnienia ich parafii... pod wezwaniem św. Józefa – wspomina Majerski.

Oczywiście do Niemiec pojechał, świętą rodzinę wyrzeźbił. W wolnym czasie ktoś zabrał go i jego żonę na spacer ścieżką z 12 stacjami do medytacji. Przy dziewiątej stacji ekumenicznej drogi życia Majerski zażartował do swego przewodnika, że gdyby rosła tu jodła kanadyjskie obciążona do wysokości 3,5 metra, można by w nich rzeźbić. Rzucony pomysł niespodziewanie... został zrealizowany. Po jakimś czasie drzewa uschły, a wtedy architektowi odpowiedzialnemu za cały projekt przypomnieli się słowa polskiego rzeźbiarza. Dlatego w tegoroczne wakacje limanowski twórca dostał propozycję uporania się z przypadkiem rzuconym przed rokiem pomysłem. Podjął wyzwanie. Po dwóch tygodniach w labiryncie stanęło pięć zakorzenionych w ziemi rzeźb. Są one symbolicznym ujęciem pięciu rozbudowanych tematów. Jeden z nich to „Praca-cierpienie-codziennosc”, inny „Radość-zachwyty-taniec”, „Śmierć – zakończenie – przejście”. Odbiorca znajdzie na nich wyrzeźbioną klepsydę czasu przypominającą utrudzoną twarz, schody prowa-

*Zaczarowane Jodły
w Labiryncie przeznaczenia
ciosy dłuta przyjmują
spokojnie w milczeniu
i czas nie ma dla nich
żadnego znaczenia
wszak one są
w medytacji cieniu...*

dzące ku szczytom, jajo, z którego wy-
kluwa się nowe życie... Symbole mają
skłaniać medytujących w labiryncie do
zadumy. Rzeźby są opisane, a ponieważ
Majerski tworząc, równocześnie poety-
zował, więc jego krótkie wiersze – ko-
mentarze do prac, są właśnie tłumaczo-
ne na język niemiecki i wkrótce mają
uzupełnić całą konstrukcję.

Jak wygląda całość?

– Na leśnej polance kamienie wy-
dzielają ścieżki, które tworzą labirynt.
Medytujący idzie po okręgu. Wydaje się,
że już dociera się do środka, do celu, ale
zaraz okazuje się, że jednak się oddala.
To metafora życia - z przyływami, od-
pływami, błędzeniem, dążeniem do celu
– tłumaczy Majerski.

Oglądając zdjęcia, trzeba przyznać,
że całość robi wrażenie. Samo „odślonię-
cie prac” odbyło się przy blasku świec z
poezją i muzyką skrzypiec w tle. Labirynt
ludzkiego życia skłaniał i ma skłaniać da-
lej do refleksji. A plany na tym się nie
kończą. Ponieważ kolejnym drzewom w
obrębie istniejącej kompozycji grozi
uschnięcie, więc...

- Dwa stojące z boku staną się apo-
kaliptycznymi aniołami z trąbitami, a naj-
większa jodła będzie miała pozostawione
na wysokości 7 metrów gałęzie, a poniżej
pojawia się różne postacie zmierzające do
celu drogą labiryntu – planuje rzeźbiarz.

Czy celem osobistego labiryntu
Aleksandra Majerskiego będzie podbicie
Europy Zachodniej? Limanowski rzeź-
biarz od niedawna należy do Związku
Polskich Artystów Plastyków, tym samy-
m jego twórczość została zakwalifi-
kowana do sztuki profesjonalnej. Jak
widać profesjonalnej i międzynarodowej.

Wiersze: Aleksander Majerski
Fot.: z arch. Aleksander Majerski
Reportaż fotograficzny
na stronach: 32-33



Aleksander Majerski z żoną w labiryncie życia.





Wisła jest szlakiem żeglownym od zamierzchłej starożytności, co najmniej od V wieku przed naszą erą służyła handlowi. Już w średniowieczu spławiano nią zboże, węgierskie wina, drewno, zaś w górę rzeki płynęło flandryjskie sukno. Aż do XVIII wieku handel wiślany był osią, wokół której kręciła się cała gospodarka Rzeczypospolitej. Rozbiory Polski ograniczyły znaczenie gospodarcze rzeki, nadal jednak żeglowano po niej, w połowie XIX w. pojawiły się parowce. Współcześnie Wisła nie ma istotnego znaczenia w transporcie, co stanowi dla miłośników przygód dodatkową zachętę do zmierzenia się z tym blisko tysiąc kilometrowym szlakiem wodnym, przeważnie nieuregulowanym, zaskakująco urozmaiconym i dostarczającym wielu wrażeń. Na początku lat 80-tych ubiegłego wieku ukazała się popularna do dnia dzisiejszego „Moja prywatna Vistuliada” Wojciecha Gielżyńskiego, reportaż opisujący spływ do Bałtyku na małej łodzi wiosłowej, w przeddzień planowanej wówczas, lecz dotąd niezrealizowanej budowy szeregu zapór mających ująć w karby ostatnią chyba w środkowej Europie wielką „dziką rzekę”. Obecnie coraz popularniejsze stają się wśród wytrawnych wodniaków samotne spływy kajakowe całą długością żeglowną rzeki.



W sierpniu bieżącego roku szlak wodny na odcinku od Ispiny koło Nowego Brzeska do bałtyckiego ujścia Wisły Śmiałej pokonała w trzy tygodnie „Trinidad” - niewielka łódź żaglowo-wiosłowa. Większą część ponad 800-kilometrowej trasy uczestnicy pokonali na żaglach, nocując zwykle na piaszczystych wyspach lub łakach nadbrzeżnych. Limanowianin Filip Sułkowski był jedynym stałym członkiem załogi, który odbył wiślana podróż od początku do końca.

Wielki rejs małej „Trinidad” Vistuliada z limanowskim akcentem

Na wstępie proszę o zaprezentowanie czytelnikom „Echa” łodzi i uczestników wyprawy.

Pomysł zrodził się w czasie zeszłorocznych wakacji na Mazurach. Po powrocie do Krakowa wspólnie z Piotrkim Salwą i Miłoszem Sannetrą zawiązaliśmy nieformalną spółkę mającą na celu zbudowanie łódki i spłynięcie nią do morza. Zdecydowaliśmy się na model Salmo s-15 lugger - niewielką czternastopopową łódź z żaglem lugrowym, stylizowaną na dziewiętnastowieczne łodzie rybackie z okolic Bretanii. Tu ciekawostka: prototyp tej łodzi, zaprojektowa-

ny w Legionowie, powstał z myślą o pływaniu po fiordach Norwegii. Przez Internet zamówiliśmy plany i zestaw podstawowy (wycięte komputerowo elementy ze sklejki wodoodpornej). Problemem był jednak brak odpowiedniego miejsca na naszą maszoperię. Tu z pomocą przyszli nam Paulin z Anką, którzy udostępniłi nam na czas budowy swój dopiero co wykończony garaż w Wieliczce. Anka została później matką chrestną naszej łodzi.

Budowa trwała 10 miesięcy, w tym mieliśmy około 4-5 miesięcy przerwy. Prace uległy znacznemu przyspieszeniu w lipcu i siódmego

sierpnia wieczorem „Trinidad” była już gotowa do wyprawy.

Wystartowaliście 8 sierpnia przed mostem w Ispinie, skąd wybór takiego miejsca, dlaczego nie Kraków?

Pierwotny plan zakładał rozpoczęcie wyprawy w Tyńcu i, jeśli by czas i pogoda pozwoliła, dotarcie do legendarnych brzegów Zatoki Puckiej. Z materiałów zebranych w Internecie wynikało, że są trzy miejsca, które trzeba wziąć pod uwagę: stopień wodny Przewóz w Nowej Hucie, który przy niskich stanach wody jest nieczynny (płytko i wystające z dna głazy), katarak-

ta na rzece przed Nowym Brzeskiem (poradniki zalecają rekonesans i stanowczo odradzają płynięcie w nocy lub w mgłę) oraz pneumatyczny jaz przy elektrowni w Połańcu (większe jednostki muszą meldować w elektrowni chęć przepłynięcia kilka dni wcześniej). Niestety okazało się, że trzy śluzy na terenie Krakowa są zasypane piachem po majowych powodziach, musieliśmy więc znaleźć miejsce poniżej miasta. Znaleźliśmy odpowiednie miejsce, poniżej katarakty, z drogą dojazdową w okolicach mostu w Ispinie. Rekonesans automobilowy potwierdził słusność założeń - droga dochodziła do samej rzeki. Dodatkowym atutem miejsca była dość spora plaża, na której mogliśmy odprawić rytuał wodowania. Dwa dni później okazało się, że stan wody podniósł się i plażę diabli wzięli, a droga tak rozmiękła, że nie było mowy o zwodowaniu łódki na wózku slipowym. Szczęściem Piotr pomyślał o zorganizowaniu małego „grillowego event'u”, na który przyjechało ponad 20 osób. Dzięki temu było dość rąk do zniesienia łódki w lepkim, głębokim błocie.

To był rok powodzi, ale sierpniowa Wisła okazała się wam przychylna. Przez pierwsze dziesięć dni żeglugi mieliście przeważnie słoneczną, upalną pogodę, a niski stan wody pozwolił nocować na piaszczystych łachach na środku rzeki. 17 sierpnia zapisałeś w sms'owym dzienniku pokładowym: „W południe z fasonem przepłynęliśmy na żaglach pod warszawskimi mostami”. Jak wygląda Wisła między dawną a obecną stolicą Polski?

Ilość atrakcji krajoobrazowo-przyrodniczych jest tak ogromna, że szczegółowe opisanie wymagałoby napisania grubej książki. Miłosz, który płynął przez pierwszy tydzień, skwitował to krótko: „*gdyby jeszcze woda była czysta, to byłby raj na ziemi*”. Już pierwszego dnia zaskoczył nas widok wysokich wzgórz na lewym brzegu, których strome, trawiaste zbocza wznosiły się około 50 m ponad poziom rzeki. Od ujścia Sanu rzeka rozlewa się na kilkaset metrów i zaczyna się prawdziwe królestwo piaszczystych wysp i ptaków. Plaże z białym piaseczkiem ciągnęły się czasami przez setki metrów i krajoobrazy mogłyby spokojnie udawać Karaiby albo Morze Śródziemne. Wisła od Zawichostu do Płocka jest nieuregulowana i jest największą dziką rzeką Europy. Ten odcinek rzeki jest też najbardziej wart polecenia.

Większą część trasy pokonałście wykorzystując siłę wiatru. Jak żeglujecie się po rzece takiej jak Wisła – szerokiej, ale przeważnie nieuregulowanej?

Wisła dla kajakarza nie będzie wielkim wyzwaniem. Natomiast żegluga po niej wymaga uwagi i ciągłej obserwacji rzeki, która nieuwważnego sternika potrafi zepchnąć na bystrze lub płyciznę. „Trinidad” jest łodzią żaglowo-wiosłową, przy czym

wiosła stanowiły tylko „napęd pomocniczy”. Ożaglowanie lugrowe, wywodzące się z prostej linii od żagli arabskich i łacińskich, jest niezwykle efektywne przy swej prostocie obsługi. Dzięki temu mogliśmy halsować ostro na wiatr, by w razie potrzeby szybko zrzucić żagiel i ratować się wiosłami. Nurt wije się w korycie tworząc łachy, wyspy i laguny, więc cała sztuka polegała na znalezieniu przejść między mieliznami (na które zresztą nieraz wpływaliśmy). Kilka razy zdarzyło się nam wpłynąć w złą odnogę rzeki (szlak jest bardzo słabo oznakowany w środkowym biegu), po czym musieliśmy przeciągać łódkę w wodzie po kostki. Dodatkowo musieliśmy uważać na kamienne ostrogi i wiry, jak również zatopione konary drzew.

W drugiej połowie sierpnia warunki pogodowe znacznie się pogorszyły ...

Między Zakroczymiem a Wyszogrodem zaczęło silnie wiać. Fale dochodziły chwila do jednego metra, stanowczo za wiele dla naszej łódki. Próby płynięcia na zrefowanym żaglu lub wiosłach niewiele dawały - fala po prostu cofała nas pod prąd. Pierwszego dnia czekaliśmy do wieczora, aż wiatr na tyle ucichnie, żeby postawić żagiel. Udało nam się dotrzeć do Wyszogrodu, gdzie spaliśmy w nieprzyjemnych warunkach na betonowo-kamiennym nabrzeżu (które niestety okazało się ulubionym miejscem zbiórki lokalnej młodzieży w przetunningowanych autach). Jednak prawdziwe kłopoty mieliśmy następnego dnia. Rano wiatr znów się wzmógł, więc postanowiliśmy spróbować wyjść na wiosłach. Ponieważ znów fałowało, aby ustabilizować kurs łódki, którą rzucało na prawo i lewo, opuściliśmy miecz. Niestety wpadliśmy na kamienną rafę, której przez dużą falę nie zauważyliśmy. Silny w tym miejscu prąd obrócił nas bokiem i „Trinidad” mocno się wychyliła na lewą burtę. Rzuciliśmy się na drugą stronę, żeby zapobiec wywrotce i tylko czuliśmy, jak klejony miecz orze po kamieniach. Trwało to chwilę i zaraz potem próbowaliśmy go wyciągnąć. Niestety okazało się, że go złamaliśmy. To był najgorszy dzień spływu. Ponieważ wiatr się stale wzmacniał, z trudem dopłynęliśmy do dużej wyspy trzy kilometry niżej i tam spędziliśmy cały dzień. Następnego dnia wypogodziło się zupełnie i próbowaliśmy płynąć na żaglu. Niestety „Trinidad” bez miecza tępo płynęła na wiatr, miała spory dryf, ponadto ciężko reagowała na ster i każdy zwrot musiał być wspomagany wiosłami. Niewiele miało to wspólnego z żeglowaniem, więc po krótkim czasie postanowiłem dokonać improwizowanej reperacji. Za pomocą nieśmiertelnej taśmy izolacyjnej sklepiłem dwie połówki miecza i wcisnęliśmy go na sztywno w skrzynkę mieczową. Ponieważ trzymał się na słowo honoru, płynęliśmy bardzo ostrożnie, uważając na mie-

lizny. Alisci „Trinidad” zaczęła poprawnie reagować na ster, dryf ustał i szczęśliwie dopłynęliśmy do Płocka, gdzie następnego dnia przyjechał Piotrek z zapasowym mieczem.

Jak przeszliście zalew włocławski, zwany nieco żartobliwie „Bajkałem Mazowsza”, raz dla swego podłużnego kształtu i urwistych brzegów, dwa dla wysokich fal i wiatrów utrudniających żeglugę?

To określenie, które znalazłem na blogu kajakarza, który spłynął Wisłą kilka lat wcześniej. Północno-wschodni brzeg jeziora jest wysoki i trawiasty, przewyższenia sięgają kilkudziesięciu metrów. Ostrzegano nas wcześniej przed silnymi zachodnimi wiatrami na zalewie, które potrafią wzburzyć brzydką, krótką falę o wysokości do dwóch metrów. Zalew jest długi na 50 km i szeroki na 2,5 km, co powoduje, że wiatr ma się gdzie rozhulać. Nam jednak pogoda wtenczas sprzyjała i mieliśmy sporo frajdy z żeglowania po tym sporym jeziorze. Przejście przez zaporę umożliwia śluzę o skromnych wymiarach 111 m długości, 10 m szerokości i 12 m różnicy poziomów. Nasza „Trinidad” o długości całkowitej 4,68m z trudem się tam zmieściła (*śmiech*). Niestety obsługa śluzy nie zgodziła się zakwalifikować naszej kogi do kategorii „łódzie wiosłowe” i musieliśmy zapłacić pełną stawkę za żaglowiec - 6 złotych 24 grosze.

Od Torunia do ujścia Wisła jest uregulowana, nie nudziło się Wam trochę na tym odcinku?

Tuż za zaporą Wisła traci swój dziki charakter. Jest już prostym kanałem o dość silnym nurcie. Rzeczywiście ostatni etap był dla mnie najmniej ciekawy krajoobrazowo, ale pogoda w kratkę nie pozwalała się nudzić. Od Bydgoszczy rzeka skręca na północny wschód, wiejące dotychczas wiatry zachodnie stały się naszym sojusznikiem. Dzięki korzystnemu baksztagowi (wiatrowi wiejącemu ukośnie od rufy) osiągnęliśmy z nurtem zawrotną prędkość około 16 km/h, dzięki temu w dwa dni zrobiliśmy lekko 150 kilometrów. W międzyczasie okazało się, że uszkodzona na rafie koło Wyszogrodu skrzynka mieczowa zaczęła przeciekać, zmuszając nas do wyciągnięcia łódki na brzeg i prowizorycznej naprawy.

26 sierpnia dotarliście do śluzy przy wyspie sobieszewskiej, widzieliście ujście Wisły do morza, od którego dzieliło Was około 4 kilometry. Sztorm pokrzyżował jednak plany wyjścia na Bałtyk ...

Chwila, w której zobaczyliśmy ujście była bardzo wzruszająca. Ten wieczór spędziliśmy na długich rozmowach przy butelce rumu i cygarach. To był jeden z przyjemniejszych wieczorów na wyprawie. Niestety następnego dnia pogoda się załamała, a wiadomości meteo nadsyłane drogą sms'ową z Krakowa nie napawały optymizmem. Silny wiatr północny dochodzący do 40 km/h

spowodował cofkę na rzece i fale. Ponieważ tego dnia w nocy miał przyjechać Miłosz wraz ze wsparciem dziewczęcym, musieliśmy znaleźć miejsce, które nie byłoby trudne do znalezienia po zmroku. Próba spłynięcia do przystani promowej dwa kilometry niżej skończyła się fiaskiem. Po około 15 minutach wyczerzonego wiosłowania pokonałszy dystans...dwóch metrów. Ciągnięcie łódki „na cumie” wzdłuż brzegu również nie wchodziło w rachubę, ponieważ brzegi w tym miejscu umocnione były brzydkimi kamyczkami, co przy dużej fali mogłoby się źle skończyć dla łódki. W końcu zdecydowaliśmy popłynąć kawałek z wiatrem w górę rzeki i schronić się w opuszczonym porcie lodolamaczy. To była dobra decyzja. Dozorca pilnujący tego reliktu PRL-u wskazał nam opuszczone pomieszczenia gospodarcze, w których mogliśmy się schować przed wiatrem i wysuszyć rzeczy. Klimatu dopełniało stadko kóz, które płało się leniwie po całym porcie.

Do słonej wody jednak dotarliście?

Niestety nie dane nam było wypłynąć na pełne morze, niemniej dwie komisynie wykonane próby (każdy po kolei wkładał palec do wody i go komisynie obliżywał) potwierdziły zawartość soli u ujścia Wisły Śmiałej.

Jako jedyny członek załogi stawiałeś żagle, sterowałeś lub wiosłowałeś przez trzy tygodnie bez przerwy, nie miałeś chyba potem problemów z chodzeniem po lądzie, jak radzieccy kosmonauci wracający ze stacji orbitalnych?

Trudów jako takich nie było. Najbardziej dokuczliwe były komary (kąsały tylko od 18-tej do 22-giej, ale w ilościach mogących powalić słonia), upały, a w trzecim tygodniu silne wiatry z deszczem. Pierwszy tydzień był bardzo upalny i praktycznie nic nie wiało. Z kijków od namiotu i grubej plandeki skleciliśmy niewielki daszek, który chronił nas przed spaleniem i gwałtownymi ulewami. Konstrukcja była o tyle dobra, że pozwalała również swobodnie wiosłować. Pewną niedogodnością był też piasek, który po kilku dniach był już w każdym możliwym miejscu, ze szczególnym upodobaniem do zapasów jedzenia. Tu jednak szybko zmieniła się percepcja, i Adrian Wroński, towarzysz ze środkowego tygodnia rejsu, na pytanie, czy nie przeszkadza mu piach w sucharach odpowiedział ze stoickim spokojem: „nie, najwyżej będą bardziej *c r u n c h y*”.

Wisła kojarzy się powszechnie z zanieczyszczeniem wody, ale jej stan chyba się trochę poprawił po zmianie ustroju. „Wielka Encyklopedia PWN” podaje nawet, że dolny odcinek rzeki poniżej Grudziądza „prowadzi wody sto-

sunkowo czyste”. Oczywiście nie byliście ekspedycją badawczą sanepidu, ale jak oceniasz „organoleptycznie” stan wody? Widzieliście ryby, rybaków?

Przez pierwsze dni baliśmy się dotykać wody. Wisła wedle badań z początku wieku do Sandomierza jest pozaklasowa. Zaradność Polaków nakazuje wylewanie całego ... guana i wyrzucanie worków ze śmieciami do rzek. Od ujścia Sanu, który jest dość czystą rzeką, przełamaliśmy opory i ceremonia kąpieli, zgodnie z marynarskim obyczajem, odbywała się raz na kilka dni. Ogólnie rzecz ujmując, samooczyszczaniu rzeki sprzyja jej dziki charakter i porastająca ją roślinność łęgowa, która zapobiega także erozji brzegów i zmniejsza niszczyielską siłę rzeki. Dlatego jak słyszę dyrdymały niektórych prezesów o konieczności zabetonowania, ogólnienia i regulowania rzek w imię fałszywie pojętego bezpieczeństwa, to mi się żołądek na lewo wywraca. Wisła należy do bardzo rybnych rzek i wędkarzy jest tam zatrzęsienie, zwłaszcza w okolicach miast i miasteczek. Widzieliśmy dużo wrzecionowatych czoleń rybackich, niektórych całkiem zabytkowych.

Wisła jest także rajem dla ornitologów....

...gdzie po raz pierwszy w życiu widziałem stado czarnych bocianów (pięć sztuk), zgodnie wypoczywających z czaplami i mewami na łasze piasku. Najczęściej spotykanym gatunkiem były czaple siwe, ale też kormorany, cyraneczki, mewy, czajki. Do rarytasów ornitologicznych zaliczam całkiem tam nierzadkie czaple białe. Z kolei na północy, już przy Żuławach, widzieliśmy orła bielika i żurawie. Oczywiście Wisła to nie tylko ptaki. Np. kiedy siedzieliśmy na wyspie koło Solca nad Wisłą, z nastaniem zmroku coś zaczęło strasznie pluskać i chlupotać niedaleko nas. Rankiem tuż przy łódce na piasku odkryliśmy tropy wydry. Niestety nie widzieliśmy licznych tu bobrów, widać zajęte były niszczeniem wałów na złość MSWiA.

W czasie spływu, a raczej rejsu, spotykaliście łodzie motorowe, barki, kajaki, ale chyba żadnej żagłówki?

Podczas całej podróży rzadko kiedy można było spotkać kogoś na wodzie. Z rzadka mijaliśmy barki wydobywające piasek z dna rzeki, a koło Kazimierza wyprzedził nas samotny kajakarz. Ze sprzętu, jaki wioził ze sobą wynioskowaliśmy, ze jego misją jest również spływanie rzeką. Niestety on prześlizgnął się przy płytkim brzegu, a my musieliśmy trzymać się głównego nurtu, nie mogliśmy więc się spytać. W porcie „Morka” w Płocku usłyszałem od bosmanki, że kilka dni wcześniej przepływał tędy żagłowiec z Krakowa. Również w Płocku spotkaliśmy trzech džentelmenów w kwiecie

wieku, którzy uciekający od żon, płynęli motorową barką z Mazur do Gdańska. Poza zalewem wrocławskim, pierwszą żagłówekę zobaczyliśmy rankiem koło wyspy sobieszowskiej, 4 kilometry od morza.

Zwiedzanie jakich miast warto polecić wodniakom idącym w wasze ślady? Gdzie można bezpiecznie przybić do brzegu i zostawić łódkę?

Grudziądz od strony rzeki prezentuje się niezwykle dostojnie. Natomiast nabrzeże jest ślicznie wyłożone betonem i granitowymi otoczkami w sposób gwarantujący rozbicie łódki. Aby zwiedzić miasto spędziliśmy kilkadziesiąt minut zabezpieczając łódkę linami, a później prosząc strażaków (akurat mieli tam ćwiczenia ratownicze) o przypilnowanie łódki. Niestety na całej długości Wisły są tylko trzy, może cztery porcie, w których nie obawiałbym się zostawić łódki. Kajakarze mają jeszcze mniejszy wybór, ponieważ w portach zazwyczaj nie można rozbić namiotów. Jedyne miejsca, które w miastach mógłbym polecać z czystym sumieniem, to przystań fundacji *JaWisła* w porcie czerniakowskim w Warszawie. Co prawda celem fundacji jest raczej skierowanie uwagi na Wisłę i jej przyrodę, ale nas przyjęto tam z otwartymi ramionami i zaproponowano nocleg (w innej przystani w tym samym porcie nie pozwolono nam nawet namiotu rozbić w obawie przed dyskomfortem jej rezydentów). Dodatkowo obejrzelśmy kilka zabytkowych łódek i tratw, które tam stoją i miałem okazję podziwiać żagielek rozprzowy z surowej bawełny używany przez mazowieckich rybaków jeszcze kilkanaście lat temu. Jest jeszcze porciek „Morka” w Płocku oraz przystań w Tczewie, ale w tej ostatniej kajakarze raczej nie są mile widziani. Ogólnie miasta Polski są odwrócone zadkiem do królowej rzek. Infrastruktury albo nie ma, albo jest tak zrobiona, żeby tylko żaden wodniak tam nie mógł zacumować.

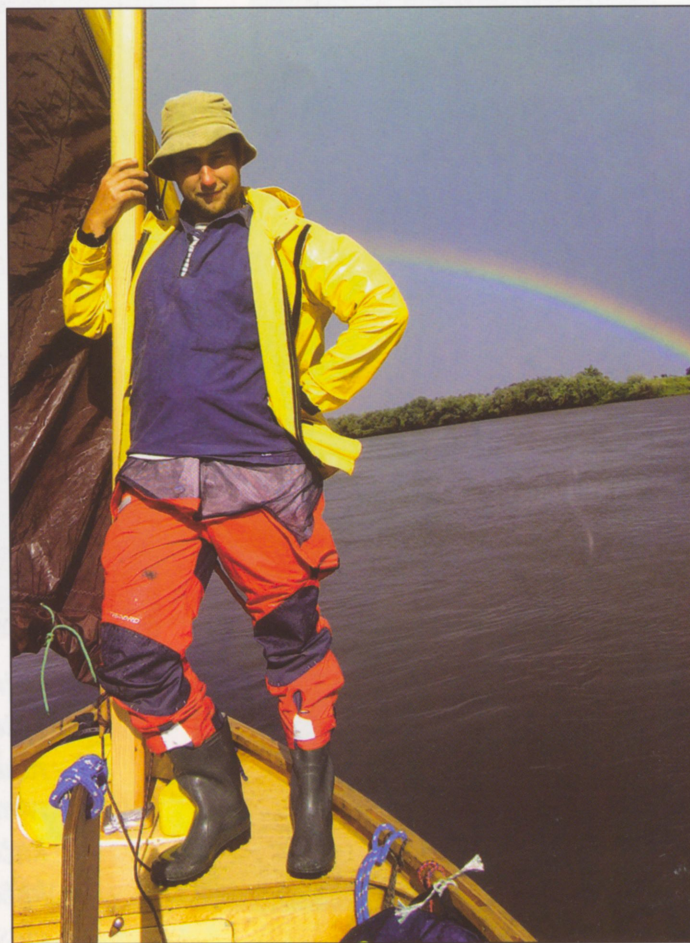
Jakie plany na przyszłość?

Jeśli wszystkim pójdzie po naszej myśli chcielibyśmy w przyszłym sezonie przepłynąć Polskę wszcz, tzn. od wschodniej granicy na zachód. Trasa zaczynałaby się na Bugu, wiodła pięcioma rzekami (w tym odcinkiem Wisły) i kończyła się na zalewie szczecińskim lub Rugii. Jednak na razie są to tylko plany.

Dziękuję za rozmowę.

**Wywiad z Filipem Sułkowskim przeprowadził: Bartłomiej Sułkowski
Fotografie: A. Tchórzewska,
B. Sułkowski, F. Sułkowski, P. Salewa**

Zdjęcia ze spływu Wisłą oraz „sms’owy dziennik pokładowy Trinidad” są dostępne na stronie internetowej www.dkr.alte.pl





Labirynt ludzkiego życia

**DZIECKO,
NOWY POCZĄTEK,
WYŁAMAĆ,
WYRUSZYĆ**



*Odradzani
z ciemności nocy
nadzieją słońca
w ciągłej drodze
każdym dniem
każdą chwilą
cieszymy się...*

**SPOTKANIE,
MIŁOŚĆ,
PRZYJAŹŃ**



**Fotografie i wiersze:
Aleksander Majerski**

**PRACA,
CIERPIENIE,
CODZIENNOŚĆ**

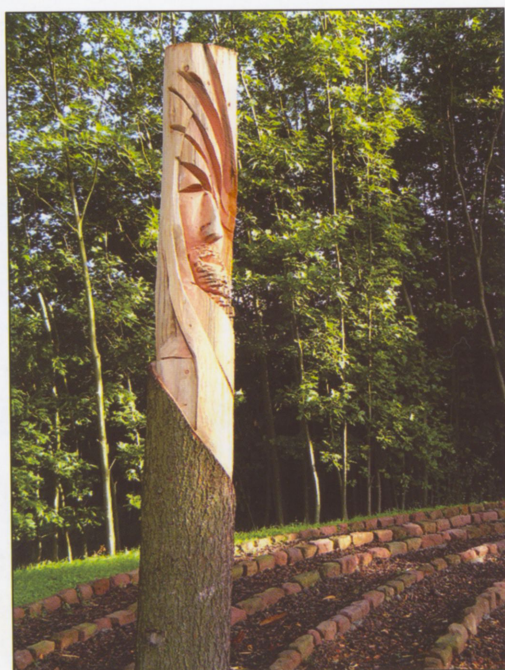


*W drodze Labiryntu
ludzkiego błędzenia
następnym tematem:
**PRACA, CODZIENNOŚĆ,
CIERPIENIE...**
i to będzie w mojej rzeźbie
nowe dopełnienie*

**RADOŚĆ,
ZACHWYT,
TANIEC**



**ŚMIERĆ,
ZAKOŃCZENIE,
PRZEJŚCIE**



*Kohelet
tęsknoty pragnień
ku niebu wznosi
„marność nad marnościami”
tego świata widząc
o łaskę miłosierdzia
prosi*



*Muzyka i obyczaje
łączą ludzi
przemierzają
wszystkie kraje
lotem ptaków
szumi leśny
w Labiryncie
wiatr*



*Praca wrze
w jodle
dłutem
stepuje
słońcem
wiatrem
pieszczona
twarze sercem
złączone
miłość
wszystko pokona!*



*Znaki pamięci
dłutem zapisane
stoją jodły
kanadyjskie
deszczem i wiatrem
smagane
Ariadna nici
zagubiła
i w labiryncie
część mojej duszy
na zawsze
zostawiła...*



WOLIMEX

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWO-HANDLOWE

34-600 Limanowa, ul. Tarnowska 33, tel. (018) 33-76-100, fax (018) 33-76-159
<http://www.wolimex.com.pl>, e-mail: biuro@wolimex.com.pl

ŻWIROWNIA

ZAKŁAD USZLACHTNIANIA KRUSZYW NATURALNYCH

32-840 Zakliczyn, Chorzewice

tel. 14 66 59 193, fax: 14 66 59 158

W nowoczesnym zakładzie uszlachtniania kruszyw naturalnych w Chorzewicach k. Zakliczyna produkujemy kruszywado betonu oraz do mieszanek mineralno-bitumicznych. Nasza oferta zawiera natępujący asortyment:

- piasek płukany 0-2 mm, grys 2-4 mm,
- grys 4-8 mm, grys 8-12 mm, grys 8-16,
- mieszanki mineralne 0-16 mm,
- pospółka 0-63 mm

KOPALNIA PIASKOWCA W MĘCINIE tel. 18 33 27 420

Produkujemy kruszywa o bardzo dobrych parametrach odpowiadających jakości I gatunku, oraz I klasie. Swoje wyroby poddajemy badaniom wykonywanym przez Generalną Dyрекcję Dróg Krajowych i Autostrad - Oddział w Krakowie, dzięki czemu uzyskujemy stosowne orzeczenia o jakości kruszywa, które spełniają obowiązujące normy.



Produkty, które oferujemy dzięki doskonałym parametrom technicznym - mają szerokie zastosowanie w budownictwie drogowym oraz hydrotechnicznym.

WYROBY BETONOWE

Zakład jest producentem prefabrykatów betonowych, służących do regulacji rzek i potoków, oraz do budowy kanalizacji i dróg. Zabezpieczamy produkcję dla potrzeb własnych oraz odbiorców zewnętrznych



Posiadamy komputerowo sterowany węzeł betoniarski do produkcji masy betonowej.

Produkowane prefabrykaty betonowe:

- rury i kręgi betonowe
- pokrywy betonowe
- korytka ściekowe
- płyty chodnikowe
- obrzeża trawnikowe
- płyty ażurowe, jomb (małe i duże)
- płyty i krawężniki drogowe

Oferujemy również masę betonową wraz z transportem i pompą do betonu Stetter.

tel. 18 33 76 862



Bank dla młodych

– jesienna odsłona akcji „Bankowe kieszonkowe”



Fot. Zbigniew Dutka

Nie jest ważne, czy jeszcze się uczysz, czy już studiujesz - Bank Spółdzielczy w Limanowej oferuje konto, które będzie spełniać Twoje potrzeby!

Bank Spółdzielczy w Limanowej pamięta o szczególnych potrzebach ludzi młodych, dlatego na przełomie października i listopada br. rusza kolejna odsłona kampanii marketingowej „Bankowe kieszonkowe”. W ruch poszła także witryna internetowa o tej nazwie.

Kampania po raz kolejny zachęca do zakładania konta w Banku Spółdzielczym w Limanowej. Tym razem naszą akcją obejmujemy także studentów, ponieważ jesteśmy przekonani, że „kieszonkowe” na studiach również się przydaje. Dodatkowa gotówka od Banku z pewnością pomoże w pełni cieszyć się urokami studenckiego życia.

Akcja skierowana jest do młodzieży w dwóch grupach wiekowych: Juniorów (13-18 lat) oraz Studentów (18-26 lat).

Bank Spółdzielczy w Limanowej oferuje młodym ludziom specjalne promocyjne warunki rachunków ROR Junior oraz ROR Student wraz z pakietem produktów i usług dodatkowych, chociażby darmowy dostęp do rachunku 24h/dobę przez Internet, SMS oraz bezpłatną kartę debetową VISA.

Teraz oprócz produktów dedykowanych dla tych grup Bank daje szansę na zdobycie ekstra premii w postaci „bankowego kieszonkowego”. Trzy osoby znajdujące się w grupie Juniorów i pięć osób z grupy Studentów, co miesiąc otrzyma na konto nagrodę pieniężną w wysokości 100 zł.

W każdy ostatni roboczy dzień miesiąca, do czerwca 2011 r., spośród osób, które założą ROR Junior, czy też ROR Student zostanie rozlosowane kieszonkowe. Podobnie jak w zeszłym roku w losowaniu biorą udział wszystkie osoby, które już posiadają konta dla młodzieży w Bank Spółdzielczym w Limanowej.

Kampania ma na celu wdrażanie młodych ludzi w świat finansów. Poprzez edukację i korzystanie z produktów finansowych od najmłodszych lat młody człowiek z pewnością będzie umiał odpowiednio zadbać o swoje pieniądze na starcie w dorosłość.

Wszystkie informacje o kontaktach można znaleźć na specjalnie w tym celu przygotowanej stronie: www.bankowekieszonkowe.pl.

Jan fotograf

Ma 73 lata i chyba jest magiem fotografii. A jak nie magiem, to przynajmniej alchemikiem.

Jan Dutka. Limanowianin. Nobliwy pan z przewieszonym na szyi – młodzież by rzekła – oldskulowym aparatem fotograficznym. Tak wygląda na zdjęciu. Nie znam w sumie pana Jana. Znam, częściowo przynajmniej, jego fotografie: przez wrzesień i październik były prezentowane na wystawie pt. *Świat według czerni i bieli*. Fotografie Jana Dutki w limanowskiej Miejskiej Galerii Sztuki. Mam o nich takie samo zdanie jak wszyscy, literalnie wszyscy, z którymi na ich temat miałem okazję rozmawiać. Że są absolutnie niesamowite, czarują jak żadne inne i bije z nich ... no właśnie, co?

Marek Dudek, kurator wystawy *Świat według czerni i bieli*:

Fotografia Jana Dutki jest dla mnie wyprawą w świat, który powoli odchodzi w zapomnienie. Coraz mniej jest już prawdziwych mistrzów sztuki operującej na granicy czerni i bieli. Coraz mniej jest także w naszym świecie szczerości, prawdy i wartości opisanych na systemie: czarne lub białe. Coraz mniej jest w końcu ludzi, którzy fotografują na kliszy, a potem własnoręcznie, mozolnie, czasem na granicy doświadczeń alchemicznych obrabiają kliszę i papier, aby pokazać to, co mają najcenniejsze. Ukryte gdzieś pod zmarszczkami skóry w lekko wyblakłych oczach, w wartościach tak prostych, że aż surowych – przekazują nam historię o nie tak odległych czasach – a jednak tak bardzo innych. Jest to świat według czerni i bieli. Wiele z tych fotografii wykracza poza formy przypisane czystej sztuce fotografowania. Jestem pod wrażeniem tych, które zbliżają się w stronę grafiki z typową dla niej strukturą rysunku, grubym ziarnem czy też łagodnym, wielowarstwowym przejściem pomiędzy tonami. Wszystko to dodaje wielkiego uroku tym obrazom. Sprawia, że ich forma staje się dopełnieniem do treści i jedyne co można powiedzieć to krótkie: - Popatrzenie... tak fotografują klasycy!



Jan Dutka w czasie wernisażu w Galerii Miejskiej Biblioteki Publicznej w Limanowej.

Jan Dutka: *W roku 1980 kupiłem aparat fotograficzny Zenit i próbowałem fotografować, a że nie jest to łatwa sprawa, więc zapisałem się do Klubu Fotograficznego. Instruktorem był tam pan Andrzej Tanewski, znany i ceniony fotograf, zdobywca wielu nagród. Po przyjeździe do Limanowej moje zainteresowanie fotografią znacznie zmalało. I gdyby nie przypadek, że w 2001 r. wziąłem udział w konkursie Skarby Małopolski, to być może wszystko skończyłoby się bezpowrotnie. Stało się inaczej ... Powrót do fotografii był dla mnie bardzo trudny. Byłem zdziwiony, że nadal dostępne są papiery fotograficzne i materiały pozwalające na samodzielne wywołanie zdjęć w domowej pracowni. Moje prace fotograficzne, prezentowane na tej wystawie, powstały w takich właśnie warunkach.*

Halina Matras, dyrektor biblioteki: *Proszę wierzyć: nie ma żadnej przesady w tych stwierdzeniach Marka. Była to jedna z najlepszych fotowystaw, jakie KIEDYKOLWIEK mieliśmy w naszej Galerii, a ja osobiście bardzo cieszę się, że mogliśmy ją eksponować u nas. Gratuluję panu Janowi autentycznej wrażliwości artystycznej pomieszczonej z dużym talentem. Jest to tym bardziej imponujące, bo pan Jan – z tego co się orientuję – jest takim stuprocentowym alchemikiem fotografii. Swoje zdjęcia przygotowuje do wywołania i wywołuje we*

własnym, domowym laboratorium. Jak na nie patrzę, to mam czasami wrażenie, że pan Dutka nie tylko je wywołuje, ale i tchnie w nie życie przy tym. Że one – mimo, iż zatopione w przeszłości – to jednak żyją i oddychają. Jakoś tak pulsują, stymulując podświadomość... Warto obejrzeć te – by użyć znanej fotograficznie frazy w środowisku limanowskim – „okruszy pamięci” maga Jana Dutki.

Proszę wierzyć: nie ma żadnej przesady w słowach Haliny Matras.

Kilka komentarzy limanowian zwiedzających wystawę *Świat według czerni i bieli*:

- *Wystawa piękna. Powróciły wspomnienia z dzieciństwa ... i zwyczajnie, tradycyjnie moich dziadków.*

- *Dziękując za piękną lekcję historii, geografii i ... estetyki, gratulujemy Panu wrażliwości.*

- *Gratuluję pięknej wystawy, powracając zapomniane zapachy, ulotne ślady w pamięci...*

- *Gratulujemy pięknej wystawy fotografii pt. Świat według czerni i bieli. Szczególnie cenne są ujęcia seniorów w ich naturalnym otoczeniu. Dzięki utrwaleniu na zdjęciu te postaci dowartościowano, a rzeczy ocalono od zapomnienia. Prosimy o kontynuację takiej postawy syna Ziemi Limanowskiej. Takie przypomnienia, zwłaszcza zgromadzone na wystawie są niezbędnymi przystankami dla zaczerpnięcia tchu w naszym szalonym życiu.*

Nie znam się na zdjęciach i ich ocenie, wyciąganiu wniosków, dyskusowaniu nad technicznymi detalami, debatowaniu – że tu światło mogło być lepsze, tu saturacja za mocna – tam za słaba, tu by się filtr polaryzacyjny nadał; że Nikon dobry, Canon lepszy, a Zorka najlepsza ... etc. Obca mi jest taka wiedza, praktyka tym bardziej. Wydaje mi się, że zdjęcia pana Jana, tematy przez niego wybrane, uchwycone i sfotografowane - jak żadne inne - można objąć hasłem *Popatrzenie... tak fotografują klasycy!*

**Tekst: Sławek Łuźny
Fotografie: Jan Dutka,
Bogdan Skrzekut**



**FOTOGRAFIE:
JAN DUTKA**



Pamięci przeszłości

Pierwszy listopada to dzień, który zawsze wyzwała nastrój w pamięci o osobach i wydarzeniach z lat minionych. Przypominamy więc historię powstania cmentarza wojskowego według projektu Gustava Ludwiga z początku XX wieku na parafialnym cmentarzu limanowskim.

Okręg cmentarny, zwany limanowskim, założono na terenach walk południowego skrzydła frontu (opartego o dawną granicę Galicji i Węgier) z okresu jesienno-zimowego na przełomie lat 1914 – 1915, stoczonych głównie w pasie od Mszany Dolnej przez Limanową do Nowego Sącza. Rejon walk obejmował również szlak bojowy Legionów Polskich znany jako „Kampania Podhalańska” i zakończony krwawym bojem pod Marcinkowicami w dniach 5 i 6 grudnia 1914 roku.

Opis tego cmentarza jest tym bardziej ciekawy, że pochodzi z publikacji poświęconej genezie i realizacji kompleksu kilkuset wojennych cmentarzy na terenie byłej Galicji Zachodniej. Publikacja ta została napisana w języku niemieckim przez majora Rudolfa Brocha i kapitana Hansa Hauptmanna, a przetłumaczona na język polski po 75 latach od jej powstania. Tytuł tej publikacji to „Zachodnio Galicyjskie Groby Bohaterów” z lat wojny 1914-1915.

Czytamy w tej księdze: „Projektując cmentarz wojskowy (nr 366) na miejscowym cmentarzu w Limanowej, artysta musiał rozwiązać trudne zadanie. Na stojące do jego dyspozycji miejsce, które znajduje się w najodleglejszym, tylnym rogu bardzo dużej miejscowej nekropolii, patrzy biedna, chłopska chata, bezpośrednio przyległa do placu. To niepożądane sąsiedztwo zostało wyłączone poprzez zadrzewienie oraz wzniesienie wysokiej pomnikowej ściany szczytowej z płaskorzeźbami i wspornikami na wieńce.

Chodziło ponadto również o to, by znaleźć powiązanie między właściwym cmentarzem wojskowym, a dwoma masowymi grobami leżącymi na wprost, po drugiej stronie miejscowego cmentarza. Rozwiązano problem w ten sposób, że wejście na cmentarz poprowadzono między tymi dwoma grobami. Do słupów bramnych dołączono po obu stronach niską, betonową balustradę, po prawej i lewej stronie półkolistie otacza obydwa masowe groby i aż do początku leżącego na wprost właściwego cmentarza, który obiega dwa równoległe ciągi ujmujące prowadzącą doń drogę.



Pierwotny wygląd cmentarza z początku XX wieku.



Współczesny wygląd kwatery - koniec XX wieku.

Fot. Z. Dutka

W ten sposób osiągnięto zespolenie, a zagubiony cmentarz wojskowy został całkowicie wyeksponowany z dużej powierzchni miejscowego cmentarza.

Groby masowe, objęte kolistą betonową cokołem, zdobią duże betonowe krzyże z nałożonymi żeliwnymi krzy-

żami. Mogiły pojedyncze otrzymały małe kamienie nagrobne z zamontowanymi na nich żeliwnymi krzyżami. Betonową balustradę pomyślano jedynie jako element tymczasowy, który zginie pod roślinością pnącą, mającą go w przyszłości zastąpić. Liczono się również z tym,

(dokończenie ze strony 25)

Żeby kamień zaczął gadać

Dawna Limanowa się owego poetycznego bruku nie dorobiła, główną ulicę i jednocześnie trasę przelotową dawnej „cesarki” wybrukowano za Niemców w czasie II wojny na odcinku mniej więcej od stacji kolejowej, przez przekątną rynku, do starej remizy strażackiej przy ówczesnej ul. Sądeckiej. Pod koniec lat pięćdziesiątych w związku z modernizacją ulicy całkowicie wymieniono bruk na nowy. Przetrwiał do czasu generalnej przebudowy rynku na przełomie lat 60/70.

O ile bruk miejskich ulic czy placów układany był według linii prostych, to bazaltowe kostki nawierzchni dróg krajowych – również tego kawałka przez Limanową – miały układ bardziej skomplikowany. Kolejne rzędy brukowych kostek biegły po łukach o cięciwie ok. 1,5 metra; łuków owych obok siebie było 4–6 przez szerokość jezdni, a ich ciągi po bokach zachodziły na siebie. Dla patrzącego faktura takiej drogi mogła przypominać trochę dowiecipne, „sfrustrowane” rysunki mające wywoływać omamy wzrokowe, np. efekt migotania. W każdym razie tworzenie tego typu estetyki frapowało. Pewnie było tego jakieś techniczne uzasadnienie.

Okazało się, że tak, ale inne niż sobie wyobrażałem. Otóż brukarze pracowali po kilku w jednym równym szeregu i posuwając się na kolanach, układali podwożoną im na taczkach kostkę według zasięgu ramion, a więc po liniach półkolistych. Taki system eliminował niepotrzebne, jałowe ruchy – zbędny wysiłek przy uciążliwej pracy w męczącej pozycji.

W czasach dominacji pracy fizycznej doświadczenia pokoleń wypracowywały metody oszczędności wysiłku. Stąd chłop widły zawsze stawiał po prawej stronie drzwi do obory, bo wtedy dwoma, a nie trzema chwytami miał narzędzie gotowe do akcji. Podobnie, rozpoczynając pracę w polu tak ją rozplanowywał, by w południe móc przerwać ją akurat w tym miejscu, gdzie pojawi się żona z obiadem – po co tracić siły swoje i zwierzątek na niepotrzebne chodzenie?

Wracając „na bruk”, nie sposób nie zauważyć, że jakby nie kombinować, to jednak przy jego układaniu trzeba było przez całą dniówkę mozolnie posuwać się na kłęczkach. Przez lata pracy uzbierało się z tego niemało kilometrów.

Tekst: Zbigniew Sułkowski

**Fotografie:
arch. albumu Okrucy pamięci.**



Po II wojnie światowej za centralnym Pomnikiem kwatery wojskowej umieszczono mogiły pomordowanych w okresie okupacji.



że z biegiem czasu materiał nabierze cieplejszych tonów. Dopiero wtedy gdy warunki te zostaną spełnione, stanie się widoczne, jak szczęśliwie zostało rozwiązane zadanie, by najmniej znaczącą część miejscowego cmentarza, uczynić najdogodniejszą. (...)

Stanisław Ociepka



Główną ulicę przelotową Limanowej wybrukowano kostką granitową.

Poszukując ciekawych tematów w pracy redakcyjnej, wielokrotnie mogłem przekonać się o istnieniu „skarbów” pamięci przeszłości, które gromadzone przez lata, przechowywane są w prywatnych kolekcjach mieszkańców naszego miasta.

Udostępnienie tych archiwalnych zbiorów przez Czytelników „Echa” do publicznego wykorzystania stwarza możliwość opracowania artykułów, przybliżających wiedzę o przeszłości. Gdyby nie gesty Czytelników naszej gazety prawdopodobnie nigdy zbiory te nie zobaczyłyby światła dziennego, a z upływem czasu, zostały stracone bezpowrotnie. Informacje zawarte w nich nie doczekałyby godnego miejsca we współczesnej publicystyce, odeszłyby w niepamięć.

Na szczęście tak się nie dzieje i to jest pocieszające dla dobra bogacenia wiedzy historycznej o naszej „małej Ojczyźnie” jaką jest Limanowa.

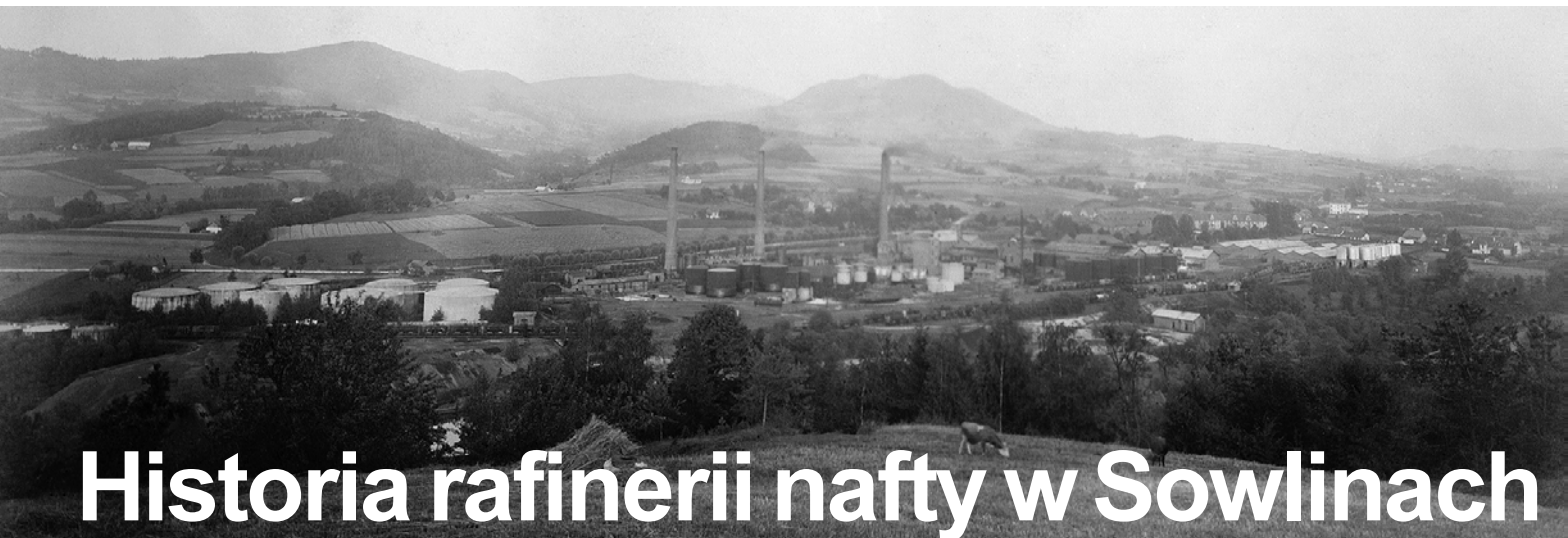
Przykład stanowi maszynopis opisujący historię rafinerii nafty w Limanowej. Redakcja „Echa” otrzymała ten materiał od rodziny ks. Władysława Rysia. Opracowanie powierzył księdzu jego autor inż. Józef Florian. Jakie były związki ks. Władysława Rysia z inż. Florianem? Pisaliśmy o tym wielokrotnie na łamach naszego dwumiesięcznika. Przypomnę jeden z epizodów, który dla społeczności Sowlin miał duże znaczenie, a wynikał z przyjaźni tych Szanowanych Panów.

Kiedy po II wojnie światowej w latach czterdziestych ks. Władysław Ryś został katechetą młodzieży w tworzących się szkołach średnich, które mieściły się w budynkach kolonii rafinerii w Sowlinach, powstał problem wygospodarowania pomieszczenia do realizacji kultu religijnego (kaplicy szkolnej). Wtedy wyszedł naprzeciw dyrektor Rafinerii – Bednarni inż. Józef Florian.

Wydarzenie to w kronice parafialnej w Sowlinach tak opisał ks. Ryś.

(...) Zaczęliśmy więc zastanawiać się jak rozwiązać sprawę jakiejś kaplicy czy ewentualnie kościoła szkolnego tak bardzo potrzebnego na miejscu Sowlin. Wtedy to ktoś podsunął myśl urządzenia takiej kaplicy w nowym, pozostawionym przez okupantów hitlerowskich baraku zbudowanego prawdopodobnie na magazyn żywnościowy tuż obok portierni Rafinerii – Bednarni. Dyrektor inż. Józef Florian, człowiek niezwykle religijny i do wszelkiej dobrej sprawy społecznej pozytywnie usposobiony, nie czynił opozycji, gdyśmy oficjalnie zwróciliśmy do niego o odstąpienie tego baru na planowaną kaplicę(...).

Kaplica ta przez 40 lat służyła mieszkańcom Sowlin jako jedyne miejsce praktyk religijnych do 1984 roku, kiedy to oddano parter dolny wznoszonej nowej świątyni przez ks. Jana Bukowca. Ostatecznie kaplicę rozebrano 1996 roku.



Historia rafinerii nafty w Sowlinach - w opisie inż. Józefa Floriana

Z bogatego materiału opracowanego przez inż. Józefa Floriana prezentuję dwa wybrane wydarzenia, jakie miały miejsce w limanowskiej rafinerii. Pierwsze opisuje Jubileusz 25-lecia uruchomienia rafinerii nafty w Limanowej. Odnajdujemy tam ciekawe przemówienie Administratora Generalnego Dyrektora Towarzystwa Naftowego „Silva-Plane” Jeana Duclos z Paryża. Drugie wydarzenie to obrona rafinerii w 1945 roku i zaraz po II wojnie.

Jubileusz 25-lecia

W dniu 22 lipca 1933 roku obchodzono uroczystość 25-lecia uruchomienia rafinerii nafty w Limanowej. Dzień ten zgromadził licznych gości a zwłaszcza reprezentantów placówek krajowych i zagranicznych koncernu „Silva-Plane”, do którego Limanowa należała. Uroczystość rozpoczął administrator

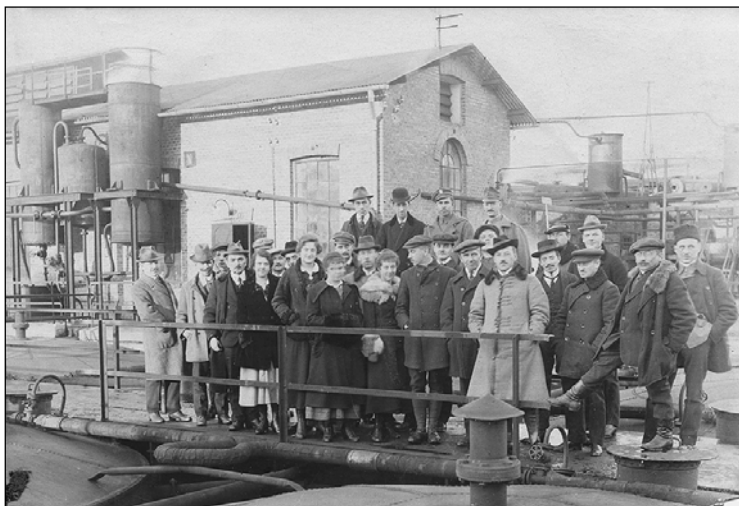
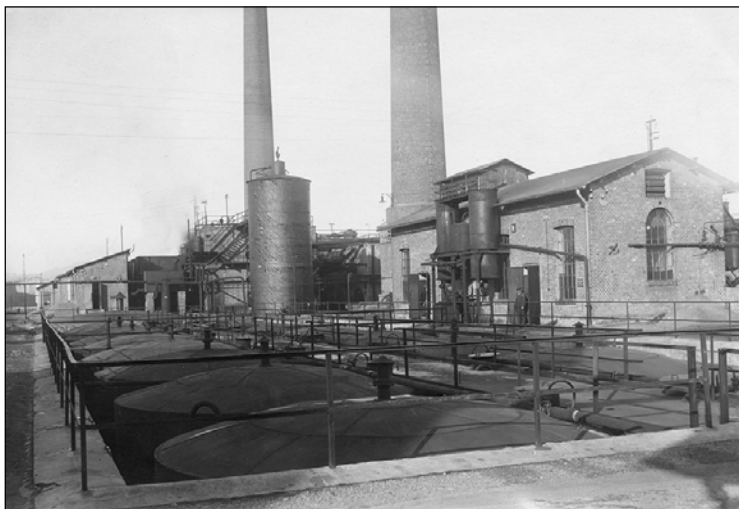
generalny Towarzystwa Naftowego „Silva-Plane” Jean Duclos, który powiedział: „Panowie! Kiedy prawie dwadzieścia pięć lat temu w maju 1910 roku, po raz pierwszy przybyłem do rafinerii nafty w Limanowej, nie mogłem przeczuwać tej zawieruchy, której świadkiem miałem się stać na równi z Panami, a w swoim skromnym zakresie także uczestnikiem zawieruchy, z której miała powstać do życia w 6 lat później

„POLSKA ZMARTWYCHWSTAŁA”. Dla Francuza, który nie podróżował, który nie znał głębiej niezłomnej żywotności duszy NARODU POLSKIEGO było to ogromne wydarzenie.

W roku 1910 Polska była tylko bolesnym wspomnieniem historycznym, które nas wzruszało do głębi w naszej młodości. Trzeba było czasu, aby Polska powstała odrodzona z zawieruchy 1914 roku. Koniecznym było, aby odwieczni wrogowie, z których każdy przemocą dźwignął część Waszej Ojczyzny – byli pokonani równocześnie. A jednak to zdarzenie niezwykle, ten cud się dokonał. Rosja, Niemcy i Austria pokonane równocześnie, musiały zwrócić obszary, które sobie przywłaszczyły w czasie rozbiorów – a Ojczyzna Wasza znów wolna, zjednoczyła się w całości, wieńcząc niewzruszoną wiarę swoich dzieci.

Tak oto wracając tutaj w roku 1919 byłem świadkiem odrodzenia Waszej Wielkiej Ojczyzny. Lecz jednak jeszcze ciężkiej pracy należało dokonać. Powołanie do życia na nowo z trzech zaborów jeszcze niedostatecznie zrosniętych ran, prowadząc wojnę - Polska musiała równocześnie bronić się przed napadem i odtwarzać z niczego swoją administrację, finanse i swoją armię. Polska zdobyła pokój na zewnątrz i zespolenie na zewnątrz, ustabilizowała swoje finanse, walutę, zorganizowała armię, rozwinęła oświatę i dobrobyt swoich obywateli, uzupełniła gospodarczo sieć kolei żelaznych, mostów i dróg, zmodernizowała swój przemysł i rolnictwo, w takim stopniu, że zdobyła podziw i uznanie całego świata.

Jestem szczęśliwy, że w naszym skromnym zakresie było nam dane kapitałom wniesionym tutaj współdziałać w odrodzonej Waszej Ojczyźnie i dać czynny wyraz tej wielkiej przyjaźni, jaka łączy nasze kraje. PANOWIE! Wznoszę mój kielich za pomyślność tej rafinerii, która dziś obchodzi 25 lecie swego istnienia, w której cieniu setki dzieci przyszło na świat i wychowało się. Piję na zdrowie tych, którzy mnie otaczają i którzy od 20 do 25 lat oddają na usługi Towarzystwa swoją inteligencję i ofiarny wysiłek i którzy przyczynili się do tego, że Towarzystwo nasze może zwalczyć z powodzeniem wszelkie trudności i okresy kryzysu. Wznoszę swój kielich na cześć naszych Go-

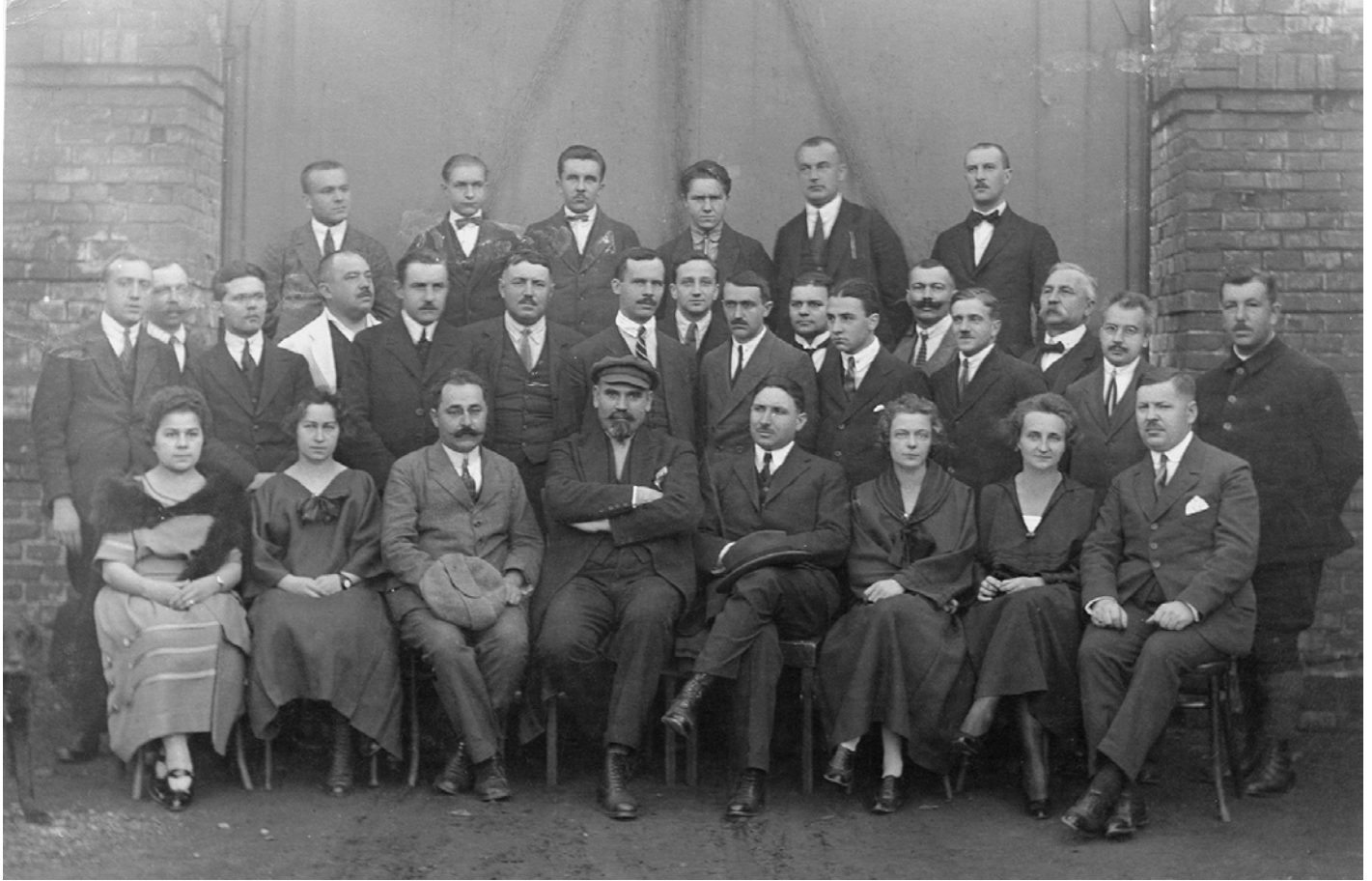


Pracownicy rafinerii.

ści, którzy zechcieli łaskawie przyjąć nasze zaproszenie i zaszczylicili swoją obecnością tą skromną uroczystość rodzinną. W końcu wznoszę ten kielich za pomyślność Francji i Polski, i za zdrowie Pana Prezydenta Rzeczypospolitej”.



Zaproszeni goście, przedstawiciele koncernu „Silva-Plane” z administratorem generalnym Towarzystwa Jeanem Duclos. Pośród gości siedzi czwarty od lewej ks. prałat Kazimierz Łazariski, stoją od lewej (trzeci) inż. Józef Florian, obok burmistrz Marceli Bursztyn.

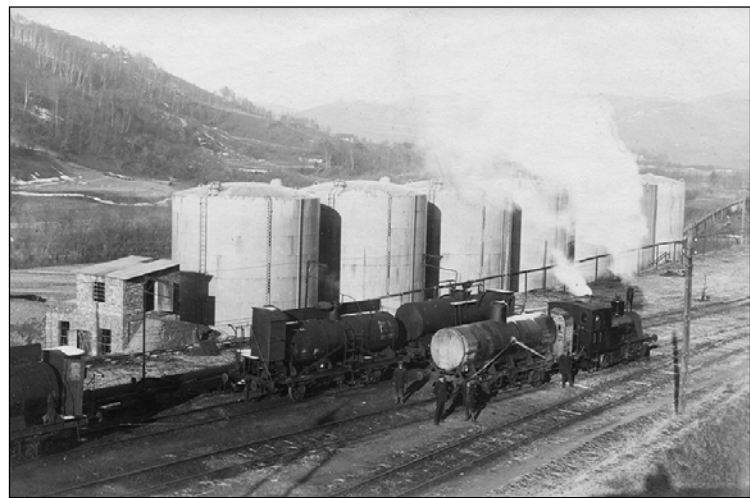


Powyżej i poniżej: Dyrekcja, administracja oraz personel rafinerii nafty w Sowlinach.

Podczas tej uroczystości przygrywała orkiestra pracowników rafinerii nafty, zaś nastrój panował bardzo serdeczny. Spokali się starzy znajomi współpracownicy, którzy nie widzieli się od kilkunastu lat. Duch rodzinny panujący na sali łączył wszystkich obecnych tak personel dyrekcyjny, inżynierów, jak i robotników, a Jubilatami 25-lecia byli: *Stanisław Bednarczyk, Wincenty Biedroń, Józef Bulanda, Walenty Florek, Jan Florek, Jan Fyda, Karol Gasidło, Rajmund Kępny, Michał Łącki, Michał Paska, Stanisław Rzepka, Adolf Steuer, Alfred Wilczek, Konstanty Wietrzny, Józef Zajac, Józef Zaremba.*

W czasie różnych przemówień uczczono pamięć zmarłych pracowników: *inż. Waleriana Dydejczyka, inż. Ludwika Mullera, dr. Tadeusza Nowosielskiego, inż. Aleksandra Prokopeczkę, inż. Ludwika Rosnera, Franciszka Gruszkę, Jana Hallauna, Filipa Hartunga, Gustawa Kapkę, Franciszka Krzywonośa, Leopolda Lubeckiego, Jana Puchalę, Jakuba Raczka, Józefa Rottera, Edwarda Wójcikiewicza.*

Następnie wykonano wspólną fotografię, a później był obiad i zabawa. Po tych uroczystościach jubileuszu Limanowa otrzymała z Paryża polecenie opracowania projektu zmodernizowania urządzeń przerobczych rafinerii jak i też składów dystrybucyjnych i stacji benzynowych w kraju, przeznaczając na ten cel 30 milionów franków szwajcarskich z tym, że projekt rozbudowy będzie opracowany i wysłany do Paryża najdalej do 10 grudnia 1933 roku, bowiem odbędzie się Walny Zjazd Akcjonariuszy, który projekt musi zatwierdzić. Projekt ten został opracowany wspólnie z dyrekcją firmy Zieleniewski w Krakowie i wysłany na czas do Paryża. Niestety zamiast zatwierdzenia projektu, rozbudowy – nastąpiły ograniczenia w produkcji. Od tego momentu następuje upadek firmy „Limanowa”, gdyż wskutek nabycia portfela akcji firmy „Silva-Plane” w Paryżu przez firmę „Galicia” w Wiedniu wszystkie projekty odpadły. O dalszym losie rafinerii nafty w Sowlinach w innym artykule.



Manewry na torach rafinerii limanowskiej pod koniec lat 20-tych XX wieku.



Ogólny widok Limanowej w okresie działalności rafinerii w Sowlinach.

Obrona rafinerii w 1945 roku i po II wojnie światowej

W dniu 17 stycznia 1945 roku okupant opuścił rafinerię, udając się w kierunku Mszany Dolnej i Żywca. W tym samym dniu o godzinie 15-tej wpadła na teren rafinerii jednostka „SS”, która miała zamiar wysadzić w powietrze halę maszyn i kotłownię, co im się nie udało, gdyż zostali przez ludzi spłoszeni i uciekli w kierunku Mszany Dolnej. W dniu 18 stycznia 1945 roku rafineria była wolna. Po odejściu wojsk hitlerowskich, a przybyciu tego samego wieczoru partyzantki z czołówek Armii Czerwonej zorganizowano zaraz na terenie zakładu „Milicję obywatelską” z pracowników zamieszkałych na kolonii rafinerijnej składających się z 23 osób, które pilnowały i zabezpieczały magazyny techniczne rafinerii. 23 stycznia przybył przedstawiciel Państwowego Urzędu Naftowego dr Winkler, mianując dyrektorem rafinerii inż. Józefa Floriana. Pod koniec stycznia do ochrony rafinerii został skierowany oddział Sowieckiej Straży Pogranicznej. Jednostka ta wykazała dużo inicjatywy, wprowadzając wspólne przepustki, przez co uniknięto znacznych strat. Niestety oddział ten odwołano. W pierwszych tygodniach lutego 1945 roku rafineria miała trudności z radzieckimi wojskowymi władzami. Komendant Limanowej Timoniew wraz z personelem rafinerii przeprowadzał spis stanu rafinerii i inwentarz magazynów, z wyjątkiem rozlewni i parku samochodowego, który już odebrała jednostka wojskowa i tam pracowała. Komendant twierdził, że to wszystko jako zdobycz wojenna do Armii Czerwonej należy i na tym tle były stale kłótnie.

Cały inwentarz musieliśmy w języku rosyjskim opracować, gdyż wykazy te miały rzekomo być do Moskwy wysłane, co zresztą ich generał dywizji, który do nas 8 lutego 1945 r. przyjechał i wszystko ustnie potwierdził – pisze inż. Florian. Przy wywozie różnych materiałów z naszego magazynu do magazynu głównego w Krośnie, mieliśmy tak samo ze strony komendanta dużo przykrości, który stale twierdził, że nie mamy żadnego prawa coś z rafinerii wynosić i to tak długo, dopóki to między rządami nie zostanie uzgodnione. Po jednej takiej scysji 5 marca 1945 r. kapitan Timoniew musiał się udać pieszo do Rabki (brak komunikacji) i tam po przeprowadzeniu konferen-

cji w swoim dowództwie, wrócił do Limanowej i zakomunikował nam, że więcej do sprawy rafinerii nie będzie się mieszał, prosząc nas tylko o udzielenie możliwej pomocy Armii Czerwonej, ale żądając sporządzenia protokołu zdawczo – odbiorczego. Protokołu nie daliśmy, gdyż rafinerii od nikogo nie odbieraliśmy.

Po odejściu Komendanta miasta na terenie rafinerii znajdowały się jeszcze dwie jednostki sowieckie. Pierwsza miała pod sobą nadal rozlewnię benzyny i olejów, a ta dopiero 15 maja 1945r. nasz teren rafinerii opuściła.

Jednostka druga urządziła na terenie rafinerii dwa warsztaty naprawcze samochodów, zatrudniając 130 różnych sowieckich mechaników, okupując cały nasz warsztat mechaniczny. Jednostka ta na trzy zmiany pracowała, uzupełniając swoje i poniemieckie samochody, które na naszym terenie się znajdowały. Dla tej jednostki na ich rachunek wykonaliśmy 20 nadwozi i skrzyń do przyczepek samochodowych. Naprawę samochodów poniemieckich uskutecznilo częściami z wozów znajdujących się na terenie rafinerii, o ile części te im odpowiadały, zaś resztę co było możliwe i użyteczne zabierali jako zdobycz wojenną. Pozostały park samochodowy był pod ich kontrolą. Chcąc dla rafinerii jakiś wóz zdobyć, za wymianę otrzymaliśmy od Sowietów zdekompletowany wóz osobowy „Adler Junior” i ciężarowy „Krupp” 5-cio tonowy. Wozy te zostały przez naszych pracowników: *Wacława Kielbasę, Tadeusza Kolanke, Józefa Wojtasa, Walentego Serugę* pod nadzorem inż. *Jerzego Zachorowskiego* uporządkowane i uruchomione, służąc do przewozu żywności dla pracowników rafinerii. Po odejściu jednostki wojskowej przystąpiono do uporządkowania terenu zakładu. 1 października 1945 roku fabryka została uruchomiona, przystąpiono do produkcji beczek smarowych i twarłych dla przemysłu naftowego. Produkcja trwała do 1950 roku, kiedy to zakład został przeniesiony do nowo wybudowanych budynków w Łososinie Górnej, a cały teren oddano Centrali Produktów Naftowych w Warszawie.

**Opracował Stanisław Ociepka
na podstawie maszynopisu
inż. Józefa Floriana**

1 września 1935 roku był wielkim świętem w historii limanowskiego szkolnictwa. Dwie szkoły podstawowe - żeńska i męska rozpoczęły wspólną naukę jako placówka koedukacyjna w nowym, okazałym wyglądającym gmachu.

Wcześniej, bo już w 1931 r. do zupełnie niewykończonego budynku wprowadziła się szkoła żeńska, gdyż jej dotychczasowe pomieszczenie było więcej niż tragiczne.

Nowy obiekt nie był jeszcze całkowicie gotowy, trwały prace wykończeniowe na trzecim piętrze, brakowało sali gimnastycznej, sanitariatów wewnętrznych, tynków zewnętrznych i wielu urządzeń, ale już to, co było, napawało dumą i otuchą, że uda się wykończyć całość.

13 sal lekcyjnych, pracownia, 2 gabinety z pomocami naukowymi, kancelaria, mieszkanie kierownika szkoły i służbówka dla woźnego - to wielkie osiągnięcie w historii miasta, które ustawicznie borykało się z brakami finansowymi.

16 oddziałów szkolnych, niestety bardzo przepelnionych mogło nareszcie pracować w godziwych, jak na owe czasy, warunkach. Klasy liczyły średnio 52-55 uczniów. Można było je dzielić, ale każdy nowy oddział to dodatkowy etat nauczycielski, na który nie było pieniędzy. Stąd należało pogodzić się z rzeczywistością i cieszyć tym, co było.

Z pomieszczeń nowego budynku korzystały ponadto - Miejska Koedukacyjna Szkoła Przynależności Kupiectwa i Zawodowa Szkoła Doksztalająca. Osobą opatrnościową dla miejscowej oświaty był nowo mianowany kierownik szkoły - p. Stanisław Ceglarski, który najpierw zabiegał o zatwierdzenie uchwały o budowie, a potem o fundusze na tę jakże potrzebną inwestycję.

Do tego wielkiego dzieła włączyli się wszyscy nauczyciele oraz młodzież, zdobywając dodatkowe fundusze przez organizowanie różnych inscenizacji, przedstawień o wydźwięku narodowym i patriotycznym, kwestii i zbiórek.

Chociaż wiele jeszcze brakowało, radość zapanowała ogromna, bo łatwiej kończyć, gdy ogrom pracy był już wykonany.

Niestety, stało się to najgorsze. Wybuch II wojny światowej - 1 września 1939 r. zniweczył nadzieje, plany, zamiary i wszystko przesunął w czasie.

W roku wybuchu wojny rozpoczęcie nauki odbyło się o cały miesiąc później. Wrogie władze musiały podjąć decyzje o tym, jak będzie wyglądało nauczanie na stopniu podstawowym, bo o średnim nie można było nawet marzyć. Werdykt wydany przez okupanta brzmiał:

- Naukę mogą pobierać dzieci w wieku 7-14 lat. Jeśli ktoś repetował lub poszedł do szkoły później, to z chwilą ukończenia 14 lat ma być skreślony z listy uczniów. Potem potrzebne były jeszcze 2 lata i mógł już pracować na zwycięstwo Rzeszy.

- Dzieci wyznania Mojżeszowego nie mogły uczęszczać do szkoły.

- Nauczycielki - mężatki zostały zwolnione z pracy.

- Zezwolenie na nauczanie otrzymali mężczyźni, samotne kobiety, wdowy lub w wyjątkowych przypadkach żony emerytów, bo ich mężom nie wypłacano świadczeń.



Zabudowania przy ulicy Krakowskiej, po prawej budynek szkoły, w głębi „stara” poczta jeszcze w stanie surowym - lata trzydzieste XX wieku.

- Z wykazu przedmiotów nauczania zniknęły: historia, geografia, fizyka, chemia, przyroda.

To co pozostało, było namiastką nauki: j. polski, rachunki (matematyka), religia, śpiew, rysunki, gimnastyka i prace ręczne.

W dwóch pierwszych latach wojny uczniowie klas pierwszych mogli jeszcze zakupić „Elementarz” Falskiego. Były to zapasy przedwojenne, które rozprawdzano w szkołach. Nauczyciel przed oddaniem podręcznika do rąk ucznia dokładnie go przeglądał i wycinał kartki, na których było godło państwa i hymn. Prawie każda lekcja zaczynała się od przypomnienia, że podręcznik trzeba szanować, zabezpieczyć dodatkową okładką, nic po nim nie pisać, bo być może zajdzie taka potrzeba, że trzeba będzie go przekazać młodszemu kolegowi.

I rzeczywiście przyszła taka konieczność już wkrótce, bo w czasie okupacji elementarzy ani żadnych innych podręczników dla Polaków nie drukowano, a na czymś trzeba było nauczyć dzieci czytać i pisać.

Poza wymienionym elementarzem w starszych klasach używano jedynie czasopisma pt. „Ster”. Artykuły w „Sterze” miały charakter ogólny dotyczący najczęściej gospodarowania, zmian w przyrodzie, upraw, czasem zdarzyło się jakieś opowiadanie lub wiersz. „Ster” służył do nauki czytania i miał poparcie władz okupacyjnych.

Kłopoty z pobieraniem nauki rozpoczęły się już w roku szkolnym 1939/40. Ogromnie mroźna zima, brak węgla, ciepłych okryć, a zwłaszcza butów były powodem częstych przerw w nauce. Dodatkowo dawał się we znaki głód. Większość mieszkańców miasteczka i okolic nie miała żadnych zapasów żywności, a brak pieniędzy skutecznie blokował możliwość zakupu „na pasku”, czyli prywatnie u bogatszych gospodarzy, którzy mogli posiadane nadwyżki sprzedać.

Niedożywienie spowodowało rozwój wielu chorób, szczególnie anemii i gruźlicy. Wybuchła epidemia czerwonki zbijająca obfite żniwo. Grasował także tyfus.

Limanowska JEDYNKA

Wspomnienia z tamtych lat

Zofia Wiśniewska

Na wiosnę wiele dzieci ślaniało się na nogach. Ich buzie, ręce i nogi były pokryte strupami, spod których wyciekała ropa. Był to typowy objaw awitaminozy. Słońce złagodziło trochę ich stan, ale głodu nie dało się oszukać i pokonać przednówka. Dopiero w następnych latach mieszkańcy stali się bardziej zaradni i robili zapasy. Przede wszystkim biedniejsi mieszkańcy i ich dzieci wyruszali do bogatszych gospodarzy i pomagali w czasie żniw, wykopków, zbiorów siana, za co otrzymywali mąkę, kasze, ziemniaki, czasem słoninę z tajnego uboju i wszystko to, co nadawało się do spożycia. Dzieci zbierały w lesie borówki i suszyły je, by je użyć w przypadłościach żołądkowych, wypraszały „spady” u gospodarzy mających sad lub choćby kilka drzewek owocowych i biegly na „dworskie pola”, by zbierać pozostałe na rżyskach kłosa. Przyniesione do domu można było ręcznie wykruszyć, a podsuszone ziarno zemięć na żarnach.

Poza tym wyprzedawano różne wartościowe rzeczy, by za nie kupić żywność i drewno na opał.

W pierwszym roku wojny wielu uczniów nie klasyfikowano z powodu niskiej frekwencji. Niektórzy nie wrócili już nigdy do szkoły, kończąc edukację na drugiej, trzeciej, czasem czwartej klasie. Potem okupant nakazał bezwzględne uczęszczanie do szkoły. Kto bez usprawiedliwienia opuścił 2 tygodnie, otrzymywał pismo z ostrzeżeniem, a w przypadku dalszej nieobecności - karę.

Zaczęłam naukę w r. szkolnym 1940/41. Moją nauczycielką w klasie I i II była nieoceniona p. Maria Najwerowa. Zajęła się nami od pierwszego dnia. Mieszkała w niziutkim domku przy ulicy Sądeckiej (obecnie Kościuszki). Była bardzo opiekuńcza i oddana maluchom.

Wówczas nie było zwyczaju odprowadzania dzieci do szkoły. Tylko niektóre mieszkające „w mieście” przez kilka dni odprowa-

dzały mamy lub babcie, ale trwało to krótko, bo koledzy się z nich wyśmiewali. Ruch na ulicach był mały, aut niewiele, tylko furmanka lub rower jakiś mignął, więc niebezpieczeństwo raczej nie zagrażało.

Pani Najwerowa uczyła nas jednak zasad bezpieczeństwa, przechodzenia przez ulicę, prosiła, by chodzić zawsze prawą stroną i nie „zaczepiać panów żołnierzy”, co się czasem chłopcom zdarzało, a mogło skończyć się tragicznie.

Klasa liczyła 54 uczniów. Siedzieliśmy po 3 osoby w ławce. Uczyliśmy się na I piętrze. Odzienie wieszano się w klasach na drewnianych wieszakach. W rogu stała drewniana umywalka z miednicą i wiadrem. Rąk się właściwie nigdy nie myło, bo nie było wody lub mydła.

Czasem niebieski ręczniczek wyjmowała pani ze swojej teczki i po użyciu wkładała go do niej z powrotem. Po lekcjach, szczególnie zimą, pomagała nam zapinać uparte guziki płaszczy lub zawiązywać sznurowadła butów. Z tymi sznurowadłami były ustawiczne problemy. Brakowało bowiem zwykłych sznurówek a zastępowały je skórzane rzemyczki, troczki, które szczególnie po zmoczeniu stawiały opór i trudno je było zawiązać na kokardkę.

Specjalny kłopot sprawiały też kałamarze, tzw. grzybki. W każdy dzień przynosiło się je do szkoły napełnione atramentem, a po lekcjach zabierało do domów, aby następna ucząca się po nas klasa nie mogła z nich korzystać. Zostawione w ławce znikały lub w następnym dniu nie było w nich atramentu. Stąd nasze ręce były zawsze poplamione, czasem zawartość grzybka dosięgała odzienia, a wtedy to już był cały dramat.

Jedynymi pomocami do rachunków w I klasie były licznymy wykonane samodzielnie lub przy pomocy rodziców z wierzbowych gałązek, pokolorowane farbami lub fioletowym ołówkiem, lśniące kasztany lub dębowe ludziki.



Grupa młodzieży z nauczycielami przed arkadami przy północnej ścianie limanowskiego kościoła. Stoją od lewej: Jan Kalisz, Antoni Bieda. Siedzą: Franciszek Bogacz, Eugenia Wolf, Maria Najwer, Otylia Czeźótko, ks. Jan Rachwał, Józef Kuczejda, Janina Basiak, Maria Poško (Ociepkowa), Helena Bocheńska, Władysław Oleś. Stoi: Mieczysław Mordarski - senior. Z tyłu Stanisław Ceglarz. Fotografia wykonana w okresie okupacji.

► Choć to wszystko nie było takie proste, nauczyliśmy się świetnie liczyć i szybko przeprowadzać operacje pamięciowe. Nauka czytania odbywała się metodą sylabizowania i nie była to najlepsza z metod.

Oprócz naszej klasy były jeszcze dwie równorzędne. W jednej miała wychowawstwo p. Eugenia Wolf, a w drugiej p. Helena Bocheńska. P. Bocheńska słynęła z elegancji. Jej klasa za nią przepadała, a myśmy się jej zwyczajnie bali, bo wydawała się nam surowa i niedostępna, zupełnie inna niż nasza wychowawczyni. Dopiero po wojnie, gdy uczyła nas geografii, okazała się wymagającym, ale sprawiedliwym pedagogiem. Może trochę onieśmielało nas to, że paliła papierosy, a to wówczas u kobiet było źle widziane.

Mimo wojny nasze uczniowskie życie jakoś się toczyło aż do stycznia 1941 r. Niemcy przygotowywali się do ataku na Związek Radziecki, w wyniku którego po opanowaniu terenów roponośnych nad Morzem Kaspijskim mieli mieć pod dostatkiem ropy i

W klasie pojawili się uczniowie z zakładu szewskiego, wzięli miary i po 4 tygodniach wszyscy łącznie z wychowawczynią p. Błasiakową i jej córką paradowali w nowych trzewikach zrobionych trochę „na wyrost”, by dłużej służyły.

Warto zaznaczyć, że p. Błasiakowa - nauczycielka przybyła z Poznańskiego, była postrachem uczniów. Wprowadziła „pruski dryl” i wszystkie kary wymierzała „na łapę”.

Od nowego roku szkolnego 1941/42 musieliśmy opuścić budynek szkolny i szukać miejsca w różnych punktach miasta. Tutaj znalazły azyl tylko klasy I - III. Starsze klasy pobierały naukę w szkole w Sowlinach.

Klasy drugie i pierwsze znalazły „prztylisko” w browarze w budynku podobnym do dworskich czworaków. Mieszkali tam starzy robotnicy dworscy i dawni pracownicy browaru. Udało się jakoś wygospodarować dwa pomieszczenia i w nich w bardzo prymitywnych warunkach mogliśmy się uczyć. Było tak ciasno,



Przed głównym wejściem do Szkoły Podstawowej nr 1 po zakończeniu roku szkolnego 1957, klasa siódma z wychowawczynią Franciszką Cęglarz (pośrodku grupy), za nią stoją od lewej: ks. Jan Rachwał, Aleksandra Kozlecka, Franciszek Bogacz.

przerabiać ją na potrzebne surowce w rafinerii w Sowlinach. W tej sytuacji pomieszczenia „Jedynki” były potrzebne dla wojska. Stąd propozycja nie do odrzucenia - opuszczenie budynku w środku zimy. Powstał ogromny dylemat - co począć z taką armią uczniów? Do „Jedynki” uczęszczało wówczas ponad 700 dzieci, a pomieszczeń dla takiej ilości dzieci miasto nie miało. Z trudem udało się dotrzeć do zakończenia roku szkolnego.

W tych strasznych chwilach terroru i biedy odzywały się czasem dobre instynkty ludzkie. Tak stało się w klasie II, do której uczęszczał Mieczysław Sułkowski i Łucja - córka p. Władysława Biedy - właściciela dużego zakładu szewskiego. Pewnego razu przyszedł do klasy, do której uczęszczała córka i zobaczył na nogach jej koleżanek „namiastkę” butów. Powziął natychmiastową decyzję i obiecał wykonać gratisowo „na miarę” zimowe, sznurowane trzewiki dla całej klasy, w której było 50 uczniów. Zatem przedsięwzięcie spore, zważywszy że skóry w wolnym handlu nie było. Na szczęście ofiarodawca miał znajomych Niemców, którzy dostarczyli mu tylko z sobie wiadomych źródeł skórę. Cóż, wśród Niemców też byli ludzie rozumiejący sytuację podbitego narodu.

że zabrakło miejsca na wieszaki. Płaszczki i kurtki składało się na piecu kuchennym przykrytym papierem, a w sezonie grzewczym pod oknem na rozkładanych gazetach.

Najgorsza była zima, bo okupant nie dał przydziału opału. W tej sytuacji wychowawczyni wystąpiła do rodziców z prośbą, by każdemu dziecku włożyli do teczki jedną szczapę. Zebrane szczapy miały ogrzać pomieszczenie.

Rano przy piecu stał dyżurny i zapisywał przyniesione szczapki. Na kilka minut przed zajęciami wchodziła do klasy mieszkająca obok sąsiadka i włożywszy do paleniska wiecheć słomy okładała go drewniakami i zapalała. Potem wychodziła, a naszą rzeczą było pilnować ognia.

Na początku podrzucała do pieca wychowawczyni, ale wnet okazało się, że lepiej to robi nasz kolega Wojtas „spod góry”. Czynił to sprawnie, rzetelnie i został naszym klasowym palaczem. Dawaliśmy mu za to kawałek chleba, a po świętach placka. Brał nieskrępowany i zwykle dorzucał: - Mama zawsze mówi, jak ci chleb dają, to weź i dziękuj.

Pani Najwerowa nauczyła nas w drugiej klasie robótek na drutach. Pod koniec roku znaleźliśmy wszyscy - chłopcy i dziewczęta podstawowe ścięgi i potrafilśmy zrobić czapki, sweterki, skarpety i rękawiczki. W ciężkich czasach zdobyliśmy ważną umiejętność dzięki praktycznej i mądrej nauczycielce.

W tym czasie odwołano ze stanowiska kierownika p. Stanisława Ceglarza. Nowym kierownikiem został przybyły z Poznańskiego p. Józef Kuchejda. Nie wiązał swych planów z Limanową. Mieszkał w niej do skończenia wojny. Włączył się jednak w nurt tajnego nauczania. Wiele pomógł mieszkańcom miasta i okolic.

Znając dobrze niemiecki, pisał mieszkańcom podania do władz okupacyjnych o zmniejszenie kontyngentów, zabiegał o odroczenie wyjazdów na przymusowe prace w Rzeszy, był dobrym negocjatorem w różnych życiowych sytuacjach i udawało mu się załatwić wiele trudnych spraw.

Pewnego razu w jedną czerwcową noc Niemcy zabrali do więzienia następujących pedagogów: Władysława Olesia, Jana Kalisza, Franciszka Bogacza i Stanisława Ceglarza. Strach padł na całe miasto. Interweniowali u okupacyjnych władz: p. kierownik Kuchejda i ksiądz Żyrkowski. Nie dowiedzieliśmy się nigdy, dlaczego nastąpiło aresztowanie i jakich argumentów użyli interweniujący, ale po 48 godzinach pedagodzy odzyskali wolność. Obowiązywała generalna zasada - nie rozmawiać o drażliwych i niebezpiecznych sprawach przy dzieciach.

Po przymusowym opuszczeniu budynku szkolnego niewiele się wiedziało o swych młodszych czy starszych kolegach. Cały „skład szkolny” można było zobaczyć tylko w niedzielę na obowiązkowej mszy świętej.

Uczniowie ustawiali się klasami w środkowej nawie pod opieką wychowawców. Po prawej stronie stali chłopcy, po lewej dziewczęta. Obecność na nabożeństwie sprawdzali wyznaczeni przez ks. Jana Rachwałę uczniowie. Kto opuścił 2 msze pod rząd bez usprawiedliwienia, dostawał cięgi. Gdy nieobecność powtórzyła się, byli wzywani rodzice. Było to szczególnie ważne w klasie trzeciej, bo wówczas odbywało się przygotowanie do I komunii świętej.

Sferom kościelnym jakoś udało się przemycić wydanie katechizmu, który należało obowiązkowo „wykuć na blachę”. Przed dopuszczeniem do obrządku trzeba było zdać całość materiału. Niektórzy zdawali nawet po kilka razy. Kto nie opanował katechizmu pamięciowo, do sakramentu nie był dopuszczony. Ks. J. Rachwał pod pewnymi względami był nieprzejednany. Klasy trzecie uczyły się w budynku koło stacji w tzw. „Strzelnicy” (budynek już nie istnieje, na jego miejscu stoi okazały słoń ze smętnie zwieszoną trąbą).

Naszą wychowawczynią była p. Otylia Czeczótkowa. Był to dobry człowiek, ale chorowity. Niewielkie wynagrodzenie, które otrzymywała jako nauczycielka nie wystarczało na utrzymanie dwojga dorosłych dzieci i męża - emeryta.

Rodzice jak mogli, tak przychodzili z pomocą fatalnie opłacanym nauczycielom, ale to wszystko było kroplą w morzu potrzeb. Pedagodzy, chcąc zaspokoić podstawowe potrzeby, wyzbywali się różnych pamiątek rodzinnych przeważnie za żywność. Brakowało chleba, który był „na kartki”, mąki, kasz, cukru. Cukier można było otrzymać „na wymianę” za jajka. W klasach III - VI śpiewu uczył p. Jan Kalisz. Nie lubił tego przedmiotu, bo przed wojną nauczał fizyki i chemii. Niestety wojna wyznaczała swoje prawa. Pan Kalisz miał poczucie humoru, lubił się śmiać i żartować, ale gdy zaczynaliśmy ryczeć baraniami głosami, wpadał w szal i pewno wystąpił na na inną planetę, ale nie posiadał takiej możliwości.

W „Strzelnicy” dopiero przekonaliśmy się, co to znaczy ziąb. Brak opału, źle grzejący piec i my - zbiorowisko przeziębionych kaszlących cherlaków, to cała nasza trzecia klasa. Pani Czeczótkowa opowiadała nam różne rzeczy, czytała ciekawe baśnie z przyniesionych w torebce książeczek, ale nam było po prostu zimno. Widząc to przerywała naukę i rozpoczynała ćwiczenia. Wymachiwaliśmy rękami, od przytupywania drewniakami drgała stara podłoga, a nam robiło się nieco cieplej.

W czasie najgorszych mrozów p. Maria Kalisz (także nauczycielka, ale wówczas pozbawiona prawa wykonywania zawodu) mieszkająca po drugiej stronie „Strzelnicy”, gotowała dla nas ogromny gar czegoś, co miało przypominać herbatę. Był to wywar z suszonych skórek jabłek, przemrożonych owoców jarzębiny i różnych innych jej tylko wiadomych dodatków, a wszystko to posłodzone melasą sporządzoną z buraków cukrowych.

Najsilniejsi chłopcy z klasy przynosili ten napój do klasy, uczniowie ustawiali się karnie w kolejce, a pani wychowawczyni szybko nalewała do podstawianych garnuszków pachnący płyn. Wrzątek rozgrzewał żołądek, garnuszek ręce i można już było dotrzeć do końca zajęć.

Wychowawczyni upominała, by przynosić do szkoły drugie śniadanie. W wielu domach już w zimie chleba na co dzień nie było, pojawiał się dopiero na niedzielę, a czasem dopiero na Wielkanoc, dlatego nie było to realne.

Wówczas po raz pierwszy zobaczyłam, jak wygląda placek „pieczony w popiele”, który zjadał ukradkiem chłopiec z Lipowego. Niektórzy chłopcy mający większe apetyty przynosili do szkoły pieczone w popiele ziemniaki, zupełnie już zimne. To były codzienne okupacyjne obrazki. Jak w takiej sytuacji można było jeść chleb z serem czy masłem, gdy tyle głodnych oczu liczyło każdy połykany przez koleżankę kęs? Dlatego nie zabierałam do szkoły drugiego śniadania, choć na brak chleba, na szczęście nie narzekałam. Co innego owoce. Tych można było nabrać sporo do teczeki i rozdać chętnym.

Wielkim przeżyciem dla nas uczniów była śmierć mężczyzny zastrzelonego przez gestapowca pod mostem kolejowym. Właśnie wychodziliśmy po lekcjach, gdy minęło nas trzech gestapowców prowadzących skutego więźnia. Mimo ustawicznych upomnień ze strony rodziców i nauczycieli, by uważać, pobiegliśmy w pewnym oddaleniu za nimi aż do mostu kolejowego. Oni zeszli z więźniem dróżką pod most i nad przepływającym strumykiem jeden z „panów świata” oddał do biedaka 2 strzały, a potem gdy ten padł, przysunął się bliżej i strzelił jeszcze raz.

Staliśmy z daleka przy mostowej barierze i zobaczyliśmy strugę krwi. Dopiero wówczas ogarnął nas strach i zaczęliśmy uciekać. Zobaczyliśmy tak okrutną śmierć z bliska.

W wieku 10 lat wiedzieliśmy już na pewno, czego się spodziewać po okupancie. Potem zaczęły do nas docierać coraz gorsze wiadomości. Zaczęliśmy, tak jak dorośli, odczytywać afisze o straconych za działalność w podziemiu, ukrywanie i pomoc partyzantom, Żydom lub zupełnie błahą sprawę, jak zabicie sztuki bydła na własny użytek.

My - uczniowie szkoły podstawowej z miesiąca na miesiąc stawaliśmy się dorośli, przeżywając głęboko fatalną rzeczywistość.

Uczniowie klas trzecich przystępowali do I komunii świętej. Była to uroczystość rodzinna, więcej niż skromna. Dziewczęta w białych sukienkach po starszych siostrach, przesytych ze ślubnych sukien mam lub pożyczonych. Chłopcy w ubrankach różnych kolorów po braciach. W kościele oprócz dzieci - tylko rodzice. ►



Wycieczka na Turbacz. Od lewej siedzą: Ewa Ociepka, pani Maria Kalisz, Grażyna Węgrzynek. Z tyłu stoją: Władysława Leśniak i Helena Krakowska - 1956 rok.



Ks. Jan Rachwał z młodzieżą przygotowuje spektakl teatralny „Pociecha” - 1963 rok.

Potem skromne przyjęcie na plebanii przygotowane przez mamy z produktów składowych. Liczono przeważnie na gospodynie wiejskie, które przynosiły nabiał i mąkę tzw. pytlową z pszenicy zmeltej w żarnach-korbaczach czasem w wiatraku. Na wyciętych z tektury tackach pyszniły się 4 rodzaje ciasta: słodka bułka drożdżowa, rogal, kawałek placka z powidłem, drugi z makiem, a do tego „owsiane” kakao.

Niektóre dzieci długo wpatrywały się w swój „przydział”, nie wiedząc od czego zacząć. Inne wybrały tylko jeden placek, resztę zostawiając dla rodzeństwa, które wraz z rodzicami czekało przed gankiem plebanii.

Potem było wspólne zdjęcie z wychowawczynią, katechetą i p. kierownikiem. W domu zwykle wystawniejszy obiad złożony z kurzego rosółu z makaronem, ziemniaki z kawałkiem mięsa i kapustą lub całkiem zwyczajnie - kluski z mlekiem i ziemniaki okraszone słoniną. Upominków raczej nie było. Czasem mały kolorowy różaniec, medalik bez łańcuszka, torebeczka cukierków - malinek lub groszków, bo innych nie można było kupić.

Jako pamiątka pozostała wspólna fotografia, obrazek podpisany przez księdza katechetę i wspomnienia wciąż żywe mimo upływu lat. Nie wiem, czy obecne dzieci będą tak dobrze pamiętać swoją uroczystość, mimo otrzymanych komputerów, „górali” lub motorowerów?

Uczniowie klas IV-VII uczyli się w szkole w Sowlinach na 3 zmiany, nawet w pomieszczeniach piwnicznych, gdzie kiedyś była szatnia. Trudno - byliśmy sublokatorami. Gospodarze, których było znacznie mniej, zajmowali lepsze pomieszczenie i uczyli się tylko na jednej zmianie. Mimo niewygód, sporej odległości nauka w sowlińskiej szkole stwarzała namiastkę normalności. Sala gimnastyczna, podwórko, nawet dzwonek oznaczający początek i koniec zajęć - to wszystko przypominało o tym, że jesteśmy w obiekcie przeznaczonym dla młodzieży.

Uczyli głównie panowie, bo to ich wybrał okupant. Nas w klasie IV prawie wszystkich przedmiotów oprócz śpiewu uczył p. Władysław Oleś. Był bardzo wymagającym i surowym nauczycielem. Nie tolerował (na szczęście) lenistwa, zawsze sprawdzał zadania i wszystkich uczniów zdążył odpytać. Miało to dobre strony, bo uczniowie uczyli się najpierw „ze strachu”, a potem z przyzwyczajenia. Przynosił na lekcje „nielegalne książki”, które nam czytał lub myśmy je głośno na lekcjach czytali. Warto zaznaczyć, że wszyscy nauczyliśmy się płynnie czytać, bo p. Oleś nie cierpiał

„dukania” i na wstępie zapowiedział, że mamy we własnym zakresie czytać „co w rękę wpadnie”, to będą efekty. Były.

Nauczyliśmy się poprawnie streszczać, opowiadać, wymyślać fabułę i opisywać krajobraz, rzeczy, osoby. To zaowocowało w dalszej nauce. Świetnie też uczył matematyki.

Naukę rozpoczynaliśmy o różnych godzinach - o 8, 11 czasem o 14. Trzeba było dostosować się do wolnych sal.

Niestety. Dobre czasy wnet się skończyły, bo Niemcy przypomnieli sobie, że budynek szkolny w Sowlinach też im będzie potrzebny. „Upchano” nas jakoś w Limanowej w różnych lokalach i wszelkich możliwych dziurach. Nasza klasa otrzymała pomieszczenie po piekarni, tuż koło kościoła przy dawnej ul. Krakowskiej. Wejście było bezpośrednio z ulicy, a nad drzwiami pozostał nawet sklepowy dzwonek.

Przerwy mieliśmy bardzo krótkie, bo po nas uczyły się jeszcze dwie klasy, a poza tym dzieci wychodziły na ulicę tuż pod „oko” przejeżdżających na motocyklach lub przechodzących „chwilowych władców świata”, a tych należało unikać. W dodatku zdarzały się różne tragiczne widoki, zwłaszcza w trakcie przeprowadzania Żydów układających krawężniki przy chodnikach. Te krawężniki pochodziły z nagrobków z kirkutu. Żydzi musieli je układać na większe pohańbienie tego narodu napisami na zewnątrz.

Zdarzyło się, że jeden Żyd pracujący koło zakładu fotograficznego p. Fijała chciał ukryć napis i odwrócił go w stronę chodnika. Zauważył to wartownik. Najpierw skopał biedaka, a potem dobił strzałem w pierś, mimo iż ulicą szło sporo ludzi i dzieci.

To przykry obrazek dla oczu dzieci. Dlatego na każdym kroku były przestrogi.

Byłam też świadkiem innego wydarzenia. Pędziłam do szkoły, bo zrobiło się późno i znalazłam się właśnie koło domu Żydów - Steinerów, którzy przed wojną hodowali ogiery. Budynek i konie przejęli Niemcy. Czasami ujeżdżali je - raczej z mizernym skutkiem. Kiedy mijałam wspomniany dom, z drogi dojazdowej wypadł Niemiec na koniu. Bódl zwierzę ostrogami, a ono oszalałe z bólu stawało na tylnych nogach, tańczyło w kółko i donośnie rżało. Jeździec, chyba nietrzeźwy, nie panował zupełnie nad sytuacją. W pewnej chwili rumak zrobił jeszcze jeden efektowny piruet i zrzucił przedstawiciela „wybranej rasy” na środek jezdni, gdzie leżał jak worek z piaskiem. Z kabury wypadł mu pistolet, z głowy popłynęła krew, tylko wyzwolony z ciężaru koń „sadził” olbrzymimi susami w Działy.



Autorka wspomnień - Zofia Wójtowicz (Wiśniewska) - 1946 rok.

Przestraszona zamarłam, bo stało się to parę metrów ode mnie. Na szczęście przed kuźnią (ul. Kościuszki) stał mój wujek, który widział zajście. Podbiegł, chwycił mnie za rękę i wciągnął do swego domu, zamykając drzwi i okna. Niemiec poleżał trochę na ulicy, a potem jakoś się pozbierał i pokuśtykał do Steinerówki. Nie wiem, co się stało z koniem. Do szkoły w tym dniu już nie poszłam.

Rok szkolny w 1944 r. skończył się o 10 dni wcześniej. W sierpniu wybuchło

Powstanie Warszawskie, a we wrześniu nie było gdzie prowadzić zajęć, bo wszystko było zajęte. Niemcy przegrywali wojnę, wycofywali się, niszczyli, co mogli.

Z trudem udało się zorganizować namiastkę nauczania w „Sokole”, na plebanii i w wikarówce. Chodziliśmy do szkoły co drugi dzień na 2-3 godziny.

Nauka odbywała się w dwóch bocznych salkach w „Sokole”. Było tam tylko kilka ławek, w których siedzieliśmy „na zmianę”. Czytaliśmy coś, liczyliśmy głównie w pamięci i do domu.

Pod koniec września przywieziono grupę warszawskich dzieci, które straciły bliskich. Przyjęły je różne rodziny, odziały, nakarmiły i posłały do szkoły. Do naszej klasy uczęszczały 2 dziewczynki; Wiesława Langer (mieszkała u p. Studzińskich) i Alina Dębska. Spodziewaliśmy się, że zablęsną wiedzą, ale nic z tych rzeczy, umieliśmy więcej. Były tylko pewne siebie. Dębska wyjechała z Limanowej już w kwietniu, Langer uczęszczała do końca roku szkolnego. Odnalazły rodziny. W roku szkolnym 1944/45 przerwa w nauce nastąpiła 15 grudnia 1944 r. i trwała prawie do końca lutego 1945 r. Front przesunął się na Śląsk i Zachód Polski. Wszyscy liczyli straty, a równocześnie cieszyli się, że przeżyli.

Ocalała, na szczęście, nasza limanowska „jedynka”. Znów mieliśmy się gdzie uczyć. Nie było sprzętów, pomocy naukowych, niewiele książek, ale został budynek, kadra nauczycielska i ogromny zapal do nauki.

Dzięki wspólnemu wysiłkowi nauczycieli, społeczeństwa - rzemieślników i wszystkich ludzi „dobrej woli” naprawiano pozbierane z trudem stare ławki, pomalowano i zamontowano tablice w pobielonych naprędce klasach, doprowadzono do stanu używalności piece i zaczęła się nauka.

Do pracy wrócili wszyscy nauczyciele, którym wróg nie dał tej możliwości. Pan Stanisław Ceglarz został inspektorem i organizował szkolnictwo w powiecie limanowskim. Łatał dziury, uzupełniał braki, bo kadry było za mało, a poza tym nowy system stawiał inne wymagania. Funkcję kierowniczą w szkole przez krótki okres pełnił p. Oleś.

Znów zabrzmiał w murach szkolnych głos sporego dzwonka poruszanego ręką p. Jasia Wójcika - woźnego, a poza tym wspinałego fotografa amatora, który zatrzymał w kadrze wydarzenia szkolne tamtych lat, artyści - muzyka. Gry na instrumentach, szczególnie organach, nauczył p. Jana - ks. Jan Rachwał. Potem już sam rozwijał swój talent. Prowadził chór męski, opracowywał dla niego repertuar i z benedyktyńską cierpliwością rozpisywał utwo-

ry na głosy. Jeden człowiek i tyle talentów - wzór pracowitości, nieodżałowany p. Jan Wójcik.

Jego siostrę p. Marię Wójcik zabrał z sobą do Inspektoratu Szkolnego p. S. Ceglarz. Pomagała mu kompletować kadre nauczycielską. Wykonywała wiele funkcji, a potem musiała odejść z zajmowanego stanowiska, bo jej przekonania nie odpowiadały nowej władzy.

W szkole tymczasem grono nauczycielskie odrabiało wojenne zaległości. Uczniowie uczyli się „Hymnu”, „Boże coś Polskę”, „Roty” i wielu pieśni, które każdy Polak winien znać. Panowie uczący śpiewu - p. W. Mordarski i p. Sułkowski mieli pełne ręce roboty.

Pani Stanisława Oleś „robiła” przyspieszony kurs historii Polski, a p. H. Bocheńska przy posklejanych cudem trzymających się mapach wtlaczała w oporne głowy wiadomości z geografii Polski i świata. Początkowo były z tym trudności, bo uczniowie często do tej pory z mapą nie mieli nic wspólnego, ale jakoś nauczyli się ją „czytać” i patrząc na przedziwne znaki potrafili sami wiele o danym obszarze powiedzieć.

Pan Franciszek Bogacz z pomocą uczniów „klecił” gabinet fizyczny. W bibliotece przybywało książek głównie z darów.

Powstawały organizacje szkolne. Ks. Jan Rachwał założył 2 drużyny harcerskie - męską i żeńską. Potem zorganizował hufiec z wszystkich drużyn działających w Limanowej i Sowlinach. Pomyślał również o przygotowaniu kadry - przeszkolił na kursie przyszłych drużynowych, przybocznych i zastępowych. Drużyny były kuźnią patriotyzmu. Uczyły szacunku do pracy człowieka, poszanowania przyrody, poznawały z wybitnymi postaciami z kart historii Polski i regionu, kształtowały pozytywne cechy charakteru i odpowiedzialność za swoje czyny.

Szybko zaczął funkcjonować Samorząd Szkolny i Szkolne Koło PCK, którym opiekowała się Aniela Ufniarska. Członkowie Koła skorzystali z kursu ratownictwa. Nauczyli się udzielania pierwszej pomocy i bandażowania ran. W maju 1945 r. Koło PCK przy pomocy swojej opiekunki zorganizowało na szkolnym podwórzu „Dzień Matki”. Przybyło wiele mam, które w większości musiały w czasie akademii stać, bo naprędce zbitych z desek ław wystarczyło dla niewielu. Jednak ich wzruszenie było wielkie. Wiele płakało, słuchając deklamacji swoich dzieci i pieśni w wykonaniu chóru prowadzonego przez p. Mordarskiego.

Z uroczystości patriotycznych największe wrażenie wywarła wieczornica z okazji „Przysięgi Tadeusza Kościuszki” (24 III 1945 r.), a potem jedyny raz obchodzone w PRL - Święto Konstytucji 3 Maja. Od VI klasy wprowadzono naukę j. francuskiego. Uczyła go z wielkimi efektami p. Eugenia Wolf. Niestety, wnet go zarzucono i wybrano j. rosyjski.

Przez pierwsze 3 miesiące 1945 r. budynek pękał w szwach, bo korzystało z niego świeżo otwarte gimnazjum i liceum. Gdy szkoły te przeszły do własnego budynku, zaczęła się normalna praca.

Kadra dokładała starań, by dopracować się „dobrego imienia”. Mimo przejściowych trudności znalazła się w kręgu dobrze prosperujących placówek.

Może warto założyć Złotą Księgę nauczycieli i uczniów, którzy wyszli spod mistrzowskiej ręki jej pedagogów, a potem przynieśli chlubę swej starej „budzie”.

Tekst: Zofia Wiśniewska
Fotografie: archiwum albumu „Okruchy pamięci”



**BANK SPÓŁDZIELCZY
W LIMANOWEJ**

BANKOWE

KIESZONKOWE



**ROR
JUNIOR**

ZAŁÓŻ U NAS
KONTO
I CO MIESIĄC
WYGRYWAJ
100 ZŁ

**ROR
STUDENT**

GRUPA
psb

Centrum Budowlane

IMPULS®

PRZEDSIĘBIORSTWO
FAIR PLAY

ISO 9001

Sp. z o.o.

ul. Piłsudskiego 14c • Limanowa
tel. 18 33 74 127

Brama segmentowa



PROMOCJA!

Brama segmentowa EPU40
z napędem PROMAT9C
przetłoczenie poziome, kolor
biały, wym.: 2500x2125mm

2780 zł
brutto
VAT 7%

z montażem

www.impuls-psb.pl